Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII — Warszawa, dn. 18. XI. 1951 r. — Nr. 46 (328)

TADEUSZ KUBIAK

O MATCE POLSKIEJ

Zarze, zarzyce, trzy siostrzyce.
Szła matka po Wiśle, zbierając pianę z fali.
Napotkał ją rybak. — Dokąd idziesz, matko?
Idę, szukam swych synaczków.

Matko, drżysz jak liść.
Toć noc pogodna i ciepła.

Drżę jak liść, ach, żalem.
Przejść mi nieba i piekła.
Szukać mi wszędzie.
Iść dalej.

Patrz, matko, wschodzi gwiazda.
Gdzieś pogubiła z dłoni
rodzone pisklęta?

Nie uwiłam gniazda
pod złotą strzechą.
Smutek zajrzał w oczy moim pociechom,
śmierć zajrzała w serce moim chłopiętom.

Gdy o północy zarzucałem sieci,
w roku czterdziestym trzecim,
woda ciało wyrzuciła na brzeg.

Gdzie Wisłę gwiazda mierzy,
wśród drzew pod Sandomierzem
partyzant, syn mój leży,
To był jeden z trzech.

Patrz, matko, gwiazda zgasła
i fala ucicha.

Minęła taka wojna.
A zdrada knuła po miastach,
wsiach, zagajnikach.

Gdy szedłem drogą w czterdziestym siódmym,
gdy niosłem na grzbiecie kosz ryb
gdy ludzie zamykali domy,
siadali do wieczerzy,
w marcowym blasku u szyb —
wróg przyczajony za węgłem
do syna twojego mierzył.

Mogło to być pod Baligrodem,
mogło to być na ziemi gdzie indziej —
Wiedziałem, śmierć jeszcze niejedna przyjdzie.
Przeklinałem dłoń zadającą śmierć.

Patrz, matko, słońce wschodzi
i ptak się budzi w ogrodzie.
Ciągnąć, ej, ciągnąć sieć.

Trzeci, gdy był maleńki
nie wiedział co to nienawiść.
Trzeciemu, gdy miał siłę młodzieńca
znów wróg do oczu skoczył.
Wyszła zemsta kułacka
z kościelnych wsi.
Przyszła na łąkę biedniacką,
w pochmurne dni.

Synkowi w oczy
widłami zaświeciła,
sięgnęła po serce,
w serce uderzyła.
Najmłodszemu.

Patrz, matko, słońce wysoko,
to nieba radosne oko.
Żal swój opowiadaj wszystkim,
kołysz nim fale, kołyski.

Choć srodze serce i ciało,
zły los doświadczył,
nie na matkę zbolałą,
rybaku, patrzysz.

Nie żalem białe kołyski
kołysać będę.
Wyśpiewam gniew pędom niskim,
co będą dębem.

Rosnąc na tej ziemi, niech wiedzą,
jak było ciężko —
zgnieść podłość, zdradę i przesąd.
I łzę niemęską.

Niech wiedzą jak trudno było
i jak boleśnie,
z tej ziemi wydobyć miłość
i ludzkie szczęście.

Patrz, matko, słońce się skłania.
Godzin nie wiele do rana.
Sieci mej połów. Sen ptakom.
Bądź zdrowa.

Bądź zdrów, rybaku.

Złota łuna w oczy biła.
Matka oczy osłoniła.
Na zielonej fali stawszy
wzniosła wzrok. W serca nam patrzy.

TADEUSZ KUBIAK

PIOTR CHMURA

JESIENNA OFENSYWA

GAZETY codzienne i masowe pisma wiejskie przynoszą wciąż nowe komunikaty z akcji skupu zboża i kartofli, spłacania należności finansowych chłopów, oraz z kontraktacji trzody chlewnej. Liczby i fakty przeplatają się nawzajem. Są to liczby, gromadzone i sumowane z całego kraju. Są to fakty, stanowiące ułamek tego wszystkiego, co ożywia i porusza całe nasze chłopstwo. Biblioteki nie starczyłoby na pomieszczenie zapisu każdej gromady, każdej rodziny chłopskiej. Ale kiedy zestawiamy liczby i reprezentatywne szkice portretowe ludzi tej wielkiej akcji odsłania nam się w pełni jej bieg, treść i charakter.



Oto przykładowo dwa portrety. W gromadzie Wysokienice (gm. Głuchów pow. Skierniewice) Wacław Wilczek wykonał planowy skup zboża w 200 proc., podatek zapłacił przed terminem, a ziemniaków choć mu nie obrodziły, sprzedał 2 q ponad plan. Kto czytał jego oświadczenie w „Zielonym Sztandarze" pośpieszyłby zapewne w tej chwili dopowiedzieć, że dwóch synów Wilczka pracuje w przemyśle, dwóch uczy się w szkole, piąty będzie gospodarzył na ojcowskim 5 ha gospodarstwie. Słusznie, to trzeba podkreślić. Z Wysokienic wyszło do przemysłu i szkół 160 osób.

Drugi portret. W gromadzie Gąski (gm. Komorniki, pow. Grójec) Józef Trzmiel, działkowicz, sprzedał ponad plan, zamiast 137 kg. — 300 kg. zboża, 200 kg. kartofli, 4 tuczniki i podatek wpłacił co do grosza. Trzmiela jeden syn pracuje na kolei, drugi został traktorzystą, a teraz w wojsku dostał dyplom szofera-technika.

Jakież to wybraliśmy przykłady chłopów obywateli? Niejeden z czytelników powiedziałby: najłatwiejsze. I Trzmiel i Wilczek spłacają bezpośredni dług wdzięczności wobec Państwa Ludowego. Oczywiście i tak też oni rozumieją swój obowiązek. Ale rozumieją go również szerzej. Właśnie osobiste doświadczenie tym wyraźniej pozwoliło im zrozumieć, że nie są jednostkowo uprzywilejowani. Ich przywilej obejmuje nawet nie tysiące, obejmuje okrągłe miliony ludzi wiejskich. Wilczek w gazecie przypomniał cztery wielkie prawdy. Ze wyzwolił naszą ojczyznę i nasz pracujący lud Związek Radziecki i on jest ostoją naszego rozwoju i naszej niepodległości. Że reforma rolna dała milionom chłopów nową i mocną podstawę do życia. Że przemysł i szkoły już wchłonęły miliony ludzi ze wsi. Ze w tych warunkach rodzinie chłopskiej nie grozi dzielenie gospodarstwa, ziemi nie będzie rolnikowi ubywać, przeciwnie, będzie przybywało na jednostkę pracującą.

Przed wojną, przy znacznie większej niż obecnie ludności, zatrudnienie pracowników najemnych poza rolnictwem, wynosiło 2,733.000 osób. W roku bieżącym wynosi ono 5.200.000. O kim że mówią te nowe 2,5 miliona pracujących w miastach? O ludziach ze wsi. O braciach i siostrach, synach i córkach, a nierzadko o ojcach, którzy wyszli do miast, którzy z miastami są związani pracą pozarolniczą i nauką. Wojna kosiła wieś i miasto. Ale nikt nie zaprzeczy jak bardzo wyludniła miasta. Dlatego nawet tę przedwojenną liczbę 2.700.000 ludności trzeba było w pierwszych latach powojennych bardzo dopełniać.

Warto czasami odwołać się i do suchej statystyki.

Przy czterdziestu tysiącach wsi w Polsce wypada, że po wojnie przeciętnie z każdej gromady do prac pozarolniczych i po wiedzę wyszło po 80 osób. A gdybyśmy jeszcze doliczyli niemały procent dzieci i innych członków rodziny, jaki powiększył w miastach liczbę tych, którzy tam znaleźli pracę? Oczywiście, życie nie rozwijało się według przeciętnych norm. Są powiaty, gminy i wsie gdzie ten integralny związek z miastem, szkołami i klasą robotniczą odczuwa się mocno w każdej rodzinie, są powiaty i gminy, są wsie, gdzie proces ten ledwie się zaczął. Ale te wsie stanowią znikomą część. I one również wiedzą, że losem ich nie głucha prowincja, a otwarta droga na wielki plac budowy i produkcji socjalistycznego przemysłu.

Od r. 1949 do lata 1951 r. ludność pracująca poza rolnictwem powiększyła się o półtora miliona. Ten wielki skok w niepełne... dwa lata wieś musiała odczuć jako proces przełomowy .W bilansie tych przemian łatwiej oczywiście było zaczynać od podliczenia zysków. O nich właśnie wspomniał Wilczek z Wysokienic. Tak olbrzymi zaciąg nowych rąk do pracy nad budową nowego przemysłu i do modernizowanych hut, kopalń i fabryk wyraźnie ukazał chłopstwu perspektywę jutra. Jest „wielki plac budowy" i rozwija się gigantyczna praca nad uprzemysłowieniem kraju. W tej perspektywie nie trudno chłopu wyrozumować możliwości, jakie go najbardziej obchodzą.

Będzie wielki przemysł, to będzie stała rezerwa odpływu zbędnych rąk ze wsi. Będzie wielki przemysł, to będzie stała potrzeba kształcenia kadr zawodowych. Będzie wielki przemysł, to będzie nowa technika w rolnictwie, nowe środki i sposoby produkcji. Będzie wielki przemysł, będzie olbrzymi rynek zbytu dla chłopskiej produkcji. Będzie wielki przemysł, będzie chłop - rolnik miał do syta ziemi, czy jeszcze na indywidualnym gospodarstwie, czy już w zespołowym. Będzie wielki przemysł, to będzie rósł potok towarów aż do pełnej obfitości. Będzie wielki przemysł to będzie kultura i nie tylko przez braci, którzy poszli do fabryk, ale wprost wieś swoim wyglądem, urządzeniem i trybem życia upodobni się i zjednoczy z miastem, z którego klasa robotnicza kieruje rozwojem całego narodu.

Czyż więc przykłady Wilczka i Trzmiela należą do wybranych i wyjątkowych? Wprost przeciwnie. Wyjęliśmy je spośród milionów chłopów, którzy dostali nową ziemię, jaka w Polsce Ludowej nie będzie się kurczyć. Wyjęliśmy je spośród setek tysięcy rodzin, których dzieci kształcą się w średnich i wyższych szkołach, spośród milionów rodzin, z których ktoś pracuje poza rolnictwem.

*

Ale jest druga strona bilansu: strona zobowiązań, której nie oderwiesz od zysków. Oto taki podstawowy zysk i zobowiązanie zarazem: rynek! Dla połowy chłopstwa przed wojną rynek zbytu był nieosiągalnym marzeniem. Odgradzały je od rynku: 1) jego szczupłość, 2) monopole i spekulacja w handlu, 3) własna mała towarowość, powodowana prymitywną techniką, brakiem kredytów, środków, narzędzi itd.

Reforma rolna nowym milionom dała ziemię, a wszystkich chłopów uwolniła po 1) od konkurenta - obszarnika, panującego w Polsce kapitalistycznej na rynku zbytu, po 2) w toku dalszych przemian rewolucyjnych uwolnione zostało mało i średniorolne chłopstwo od spekulacyjnych cyklów i spychania z rynku przez kułaków i sklepikarzy, po 3) wzmocnione w wydajności produkcyjnej całym systemem pomocy ze strony państwa ludowego (w kredytach, nawozach, maszynach, spółdzielczości, umowach kontraktacyjnych, pomocy agrotechnicznej itd.).

A teraz doliczmy dwa wielkie procesy, postępujące gwałtownie i burzliwie, tak, jak jest to tylko możliwe w rewolucji socjalistycznej.

Z jednej strony na wsi, która ma otwarty rynek, w której centralna figura — średniak ma co wynieść na rynek — rozwija się niepowstrzymanie proces emigracji do miast, do pracy i do szkół. Wywołuje go państwo ludowe, klasa robotnicza, zakładająca fundamenty Polski przemysłowej, Polski prawdziwie niezawisłej i prawdziwie zmierzającej do dobrobytu narodowego.

Ten proces zmniejsza ludność rolniczą, powiększa zatem towarowość gospodarstw. Żegnaj — wypowiedziane do brata, czy siotry, do syna czy córki, którzy poszli do fabryk wyraża po wojnie nowy stan ducha. Tobie, bracie, gotuje się los, godny pozazdroszczenia. a mnie jeszcze przybędzie, taka jest perspektywa naszego rozstania.

A z drugiej strony — w miastach, w ośrodkach przemysłowej pracy, od pierwszych dni wyzwolenia do dnia dzisiejszego przybyło 3 miliony nowych sił pracowniczych. Część z tych przybyszów stanowi już przodującą część klasy robotniczej. Już odbyła drogę taką, jak sławny górnik, Wałtosz. Część z ostatniego roku wymaga jeszcze szkolenia, pomocy i wychowania, jeszcze nie podołała w pełni tempu i planowi drugiego roku Planu 6-letniego, na co wskazywał komunikat z III-go kwartału produkcji przemysłowej, ale i ta, jak tamta wcześniejsza, dojrzewa szybko, na przestrzeni tygodni do wielkich zadań, jakie postawiła przed sobą klasa robotnicza. Bo po tej stronie w miastach i w ośrodkach przemysłowych, wydajność pracy, mierzona wielkością produkcji, została dwa i pół raza zwiększona w stosunku do przedwojennej.

O czymże zatem mówi ta Polska pracy pozarolniczej, ta która objęła już więcej, jak połowę ludności kraju? Mówi o tem, że nie na próżno rośnie tak szybko. Że wielki jej wzrost liczebny znamionuje przemianę Polski z rolniczej w przemysłową. Że produkcja przemysłowa dwa i pół raza bardziej wzrosła w porównaniu z rolniczą. I że wraz z budową wielkich kombinatów i gigantów namacalnie z dnia na dzień przekonywać może wieś o zyskowej stronie bilansu, jaką każdy chłop musiał odczytać z takiego obrotu rzeczy. Już ten rok na wielu budowlach przemysłu otworzył nową produkcję, a przyszły rok oznacza — jeszcze więcej!

Ta Polska pozarolnicza ma prawo przypominać, że jest wielkim rynkiem zbytu chłopskiej produkcji i wielkim źródłem dochodowości wsi i że ten rynek winien być zaspokojony. Ta Polska pozarolnicza może dziś powiedzieć więcej. Ze wsi dobywając nowe szeregi klasy robotniczej, nowe kadry inteligencji, dla wsi budując nowy przemysł, fundament dobrobytu narodu — wzrosła tak liczebnie w miastach, że rynek jej stał się teraz dla chłopów jak morze, szeroki i głęboki. Co byś nie rzucił i gdzie byś nie rzucił — utonie.

Ten stan wywołany w pierwszym rzędzie dysproporcją między tempem rozwoju socjalistycznego przemysłu, a tempem rozwoju rolnictwa wymaga w produkcji rolnej wzmożenia wysiłków ze strony chłopów, a na rynku zbytu nie spekulacji, nie wstrzymywania towaru, nie zwyżki cen, ale najpełniejszego zabezpieczenia Polski pozarolniczej, której trzonem jest klasa robotnicza. Tak stoi sprawa i tak ją rozumieją miliony Wilczków i Trzmielów. Wielka akcja skupu zboża, kartofli, kontraktacji i spłaty należności zacieśnia spójnię ekonomiczną robotników i chłopów i stanowi wielką bitwę, wydaną elementom kapitalistyczno - spekulanckim, wrogowi klasowemu, jego propagandzie wewnątrzkrajowej i zagranicznej, co razem wzięte chciałoby „wytworzyć ponad głowami robotników i chłopów i przeciwko nim swoją kapitalistyczną spójnię".

*

Kułak i spekulant uderzał w r. 1948 w żywca. W 49 — w pszenicę, w 50-tym — w żyto, w obecnym roku uderza w ziemniaki, pośrednio w hodowlę. Ale w tym roku jasno rysuje się na tle gromady i gminy jego opozycja i podnoszenie głowy. Mało i średniorolni chłopi zaczęli bystro patrzeć na bogaczy i na działaczy. Akcja odpraw w GRN-ach i zebrań na gromadach rozhuśtała falę chłopskiej czujności i wzajemnej kontroli. Wyraźnie są określone należności, kiedy więc je wypełniam, chcę aby wypełnił je kułak, chcę aby mi świecił przykładem działacz. Jest to okres egzaminu dla kadr terenowych. Okres wyrastania nowych i oczyszczenia starych. Dzieje się to nie tylko na oczach gromad, dzieje się to za ich sprawą, z rezerw ich niewyzyskanych dotąd mądrych, uczciwych i ofiarnych ludzi... We wsi Wyrąb (gm. Sabie, pow. Sokołów) małorolny Kaniewski Jan wyrąbał na zebraniu bogaczowi Dąbrowskiemu: „Skończyły się czasy twojego wyzyskiwania i wysługiwania się nami, chciałbyś, abyśmy za ciebie wykonali plan i żywili twoje dzieci w Warszawie, aby się mogły uczyć? Tak nie będzie i ty musisz wykonać obowiązki, jakie na ciebie nałożyło Państwo". W Tłuszczu, pow. Radzymin, członek ZSL wystąpił przeciw v-ce przewodniczącej GRN, — „jak my mamy walczyć ze spekulacją, jeśli ona trudni się potajemnym ubojem". W Woli Lipowskiej (pow. Braniewo) zmienili chłopi kierownika grupy hodowców, gdyż dotychczasowy nie wywiązał się ze swych obowiązków. W gminie Kłodawa (pow. Koło) chłop Turowski wygarnął, że ludowcy z tutejszych wsi wiele przeprowadzili akcji z własnej inicjatywy i poczucia patriotyzmu i teraz gmina przoduje w skupie zboża i innych zobowiązaniach, ale przecież nie dzięki kierownictwu GKW a mimo jego nieaktywności.

W Gorzkowicach (pow. Piotrków) ostro skrytykowali chopi pracownika G.S-u, Raczka za nie wywiązanie się ze sprzedaży zboża. W gm. Dyminy (pow. Kielce) spowodowali usunięcie nieuczciwego klasyfikatora Centrali Mięsnej. W gm. Raków (pow. Stopnicki) zdemaskowali spekulanta, który za wypożyczanie (wyszabrowanego) silnika pobierał 50 zł. za godzinę. Silnik przekazali do S.O.M-u.

Na cóż wskazują te przykłady? Na kierunek aktywizacji politycznej chłopów. Wzmacnia ona praworządność ludową przez wzmacnianie władzy ludowej, przez bojowe i ofiarne ogromadzanie coraz większego aktywu wokół partii, rad terenowych i spółdzielczości. Kopeć Antoni z grom. Komarówka (pow Pasłęk) nie piastuje urzędu, a w roku ubiegłym skup zboża wypełnił w 300 proc., w obecnym zobowiązał się w 700 proc. Iluż takich Kopciów odsłoni tegoroczna akcja skupu, skoro już wiele powiatów wypełniło wszystkie swoje zobowiązania. To są ci, którzy jednoczą i stapiają władzę ludową z masami. Z ich szeregów odnawiać się też będzie aparat terenowy państwa, aparat spółdzielczości i rozwijać koła partii i Z.S.L.-u. To są dobrzy gospodarze, bo pracą ich kieruje głęboki patriotyzm. Cóż oznaczało w planie sześcioletnim, aż o dwie trzecie podniesienie hodowli? Oznaczało rozwój pasz również i na parceli chłopskiej. Prawdziwi aktywiści, legion przodujących kontraktatorów, rozszerzając bazę paszową, głęboko zrozumiał zadania i rolę Planu 6-letniego. Staje się on dzisiaj żywym przykładem i wzorem torującym w swoich gromadach jedynie słuszną drogę rozwoju produkcji i dochodowości.

Tej fali aktywności ludowładczej, jaką ożywiła i skonkretyzowała akcja skupu zboża, kartofli i spłat należności finansowych, wróg klasowy próbuje przeciwstawić gdzieś misję biskupią i zsypkę na kleryków, ówdzie pisaną ulotkę, gdzieś plotkę o krzyżach z mieczami na niebie, znak wojny, to znów przepowiednię kilkuletniej posuchy. Stary to arsenał środków, obliczony na zacofane i zabobonne baby. Wróg stosuje opór kułacki, ale odsłania dlatego wyraziście przed chłopami prawdę o przyczajonym kapitaliście i jego popleczkach tu i tam, na urzędach sołtysów, w gminnych spółdzielniach i GRN-ach. W tej kontrakcji wróg zostanie w pełni zdemaskowany, do wypełnienia obowiązków zmuszony, a za podnoszenie głowy — ukarany. Wróg klasowy ponosi sromotną klęskę nie tylko bezpośrednio i nie tylko pośrednio, kiedy rozwiane i rozbite zostają jego zastraszenia i kłamstwa, ale również w kręgu świadomych i nieświadomych jego sprzymierzeńców na urzędach. Wszak jak Polska długa i szeroka przez całą jesień rozwija się akcja wypełnienia zobowiązań wobec państwa. fala za falą — odwożenie i spłacanie — zebrania, kontrola, agitacja — i znów odwożenie i dopełnianie spłat. Wielka w tej akcji praca aktywu i mas chłopskich sięga coraz głębiej w życie terenu, coraz szerzej je obejmuje i coraz bardziej zdolnymi czyni chłopów do rządzenia, coraz bardziej na masowych naradach gromadzkich przesiewa tych, co — odpowiadają za organizację polityczną i gospodarczą terenu, coraz większą ilością dysponuje nowych kandydatów, którzy przez swój patriotyzm socjalistyczny zasługują na reprezentowanie mas i kierowanie nimi i na nich się wsparłszy jeszcze bardziej i jeszcze mocniej spoją się masy chłopskie z władzą ludową i z klasą robotniczą.

Takie już widać perspektywy tegorocznej akcji skupu, a znajduje się ona jeszcze w pełnym toku.

Piotr Chmura

LEON GOMOLICKI

W świetle prac J. Stalina o językoznawstwie

ZAGADNIENIE JĘZYKA LITERACKIEGO

1.

Byłem na jednej z dyskusji organizowanych przez łódzki Teatr Nowy na temat sztuki Janusza Warmińskiego **„Zwycięstwo"**. Któryś z uczestników, zabierając głos, zwrócił uwagę na język, jakim posługują się bohaterowie dramatu. Chodziło mu mianowicie o to, że chłopi w sztuce mówią ogólnym językiem lierackim, nie zaś gwarą regionalną. Dyskutantowi wydało się to „nienaturalne". Autor odpowiadając tłumaczył się tym, że chciał przedstawić sytuację ogólną, typową dla każdej współczesnej wsi polskiej, niezależnie od jej geograficznego, czy etnograficznego położenia.

Autor miał słuszność o tyle, o ile zasada, na którą się powoływał jest zasadą sztuki realistycznej, ukazującej typowe fakty w typowych okolicznościach. Mógł jeszcze dodać, że sprawa czystości, prostoty, a stąd i zrozumiałości języka utworu literackiego jest sprawą znajdującą się u podstaw zagadnień literatury, której celem jest oddziaływanie na masy i wychowywanie ich, nie zaś, zagłębianie się z naturalistyczną skrupulatnością w szczegóły etnograficzne. Oczywiście mówimy tu o realizmie **socjalistycznym** i o literaturze **realizmu socjalistycznego.**

Mimo częstego powoływania się na tę metodę literacką, zagadnienia stylu i języka literackiego nie są jeszcze dla wszystkich dostatecznie jasne; zbyt często jeszcze pokutują wśród nas pozostałości naturalizmu i formalizmu. Dlatego też warto o tym pomówić szerzej i tak, żeby w nas samych nie pozostały żadne wątpliwości, żadne przywary obce i wrogie naszej teraźniejszości

Na takie ostateczne wyjaśnienie zagadnień języka literatury pięknej miały decydujący wpływ prace Józefa Stalina o językoznawstwie — klasyczny wzór twórczego marksizmu.

2

Poddając druzgocącej krytyce wulgarystyczne teorie językoznawcy Marra, Stalin przyrównał je do teorii „wulgaryzatorów marksizmu w rodzaju „proletkultowców" lub „rappowców". Proletkult — Proletariackie Kulturalno-Oświatowe Organizacje — powstał w Rosji wkrótce po upadku caratu, jeszcze przed Rewolucją Październikową. Pierwsza konferencja organizacyjna Proletkultu odbyła się we wrześniu 1917 roku. Po Październiku Proletkult staje się organizacją masową, ale rozwój ten zostaje przerwany w końcu r. 1920, kiedy to Lenin położył kres szkodliwej działalności proletkultowców. Na ideologicznych odchyleniach Proletkultu zgubnie zaważyły błędne teorie Bogdanowa, który usiłował zaszczepić kulturze proletariackiej obce jej przesłanki idealistyczne. Główny błąd tych koncepcji polegał na tym, że proletkultowcy ujmowali kulturę proletariatu w oderwaniu nie tylko od postępowych tradycji okresów poprzedzających rewolucję proletariacką, lecz także od innych dziedzin budownictwa rewolucyjnego. Sprawa powstania nowej kultury proletariackiej miała być, według nich, sprawą wyłącznie proletariatu przemysłowego. W ten sposób proletkultowcy zamierzali izolować robotnika w jego twórczych zmaganiach od chłopa i od inteligencji, pozbawiając go jednocześnie wszelkiej spuścizny kulturalnej. Stwarzało to podatny grunt do szerzenia różnych odcieni scholastyki wulgarnego socjologizmu, nie przeszkadzając jednocześnie uprawianiu formalizmu haseł pseudo-lewicowej sztuki, a więc beztroskiego kontynuowania właśnie najbardziej wrogich proletariatowi praktyk degenerującej się sztuki burżuazyjnej. Będąc organizacją autonomiczną, niepodporządkowaną, lecz tylko istniejącą przy Ludowym Komisariacie Oświaty, Proletkult bronił się przed ingerencją wyższych czynników partyjnych. Jego pozycje zostały jednak zaatakowane i rozbite przez Lenina, który w projekcie rezolucji Pierwszego Wszechrosyjskiego Zjazdu Proletkultów w Moskwie przedstawił prawdziwy marksistowski kierunek powstania i rozwoju kultury proletariackiej. Zjazd ten odbył się w pierwszych dniach października 1920 r. Proletkult wegetował jeszcze do roku 1923. Próby stworzenia odrębnej organizacji pisarzy proletariackich nurtowały środowiska literackie przez wszystkie te lata, aż do powstania RAPP'u, które nastąpiło w wyniku Pierwszej Wszechzwiązkowej Konferencji Pisarzy Prolerariackich, w styczniu 1925 r.

RAPP — Rosyjskie Stowarzyszenie (Asocjacja) Pisarzy Proletariackich — odziedziczyło po Proletkulcie nieufny stosunek do pisarzy pochodzenia nieproletariackiego, tak zwanych „poputczyków", którzy zgłaszali swój udział w budownictwie kultury proletariackiej. Pewien odłam RAPP'u, mianowicie rappowska „lewica", wystąpiła nawet ostro przeciwko takiej współpracy. Zalecana przez rappowców metoda dialektyczno-materialistyczna była w gruncie rzeczy oderwaną od życia doktryną wulgarnego socjologizmu. W swoim odchyleniu „lewicowym" RAPP popełnił szereg poważnych omyłek politycznych. Ta szkodliwa dla literatury radzieckiej sytuacja trwała podsycana przez wrogi element, ukrywający się pod pseudo-lewicowymi hasłami. Na samym początku istnienia RAPP'u komplikowała ją jeszcze walka z trockistami, którzy zajęli likwidatorskie pozycje w stosunku do kultury proletariackiej w ogóle. W roku 1932 RAPP przestał istnieć na skutek uchwały KC WKP(b); jednocześnie powołano komitet organizacyjny Związku Pisarzy Radzieckich jako jedynej organizacji literackiej w ZSRR.

Przełomowym faktem w dziejach literatury radzieckiej stał się pierwszy Wszechzwiązkowy Zjazd Pisarzy Radzieckich w roku 1934, na którym Gorki wygłosił swój historyczny referat o literaturze, kończąc go następującymi słowami: „Nasz zjazd winien nie tylko dać sprawozdanie czytelniom, winien być nie tylko przeglądem naszych talentów, ale powinien podjąć dzieło organizacji literatury, wychowania młodych literatów przez pracę, mającą wszechzwiązkowe znaczenie wszechstronnego poznania przeszłości i teraźniejszości naszej ojczyzny".

Literatura radziecka wstąpiła na drogę realizmu socjalistycznego. Niemniej jednak trzeba było stoczyć jeszcze niejeden bój z pozostałościami formalizmu, teorii idealistycznych. W stałej walce, w nieustającej czujności zdobywała literatura radziecka swe charaterystyczne cechy potężnego narzędzia ideologii marksistowskiej.

Jednym z głównych źródeł fałszywej orientacji i szkodliwych wpływów na poszczególnych pisarzy były teorie lingwistyczne Marra i jego szkoły. Szkoła ta, która w swej taktyce teoretyka-monopolisty posługiwała się metodami zastraszania — nawet w swych zewnętrznych przejawach przypominała terror stosowany przez monopolistów kultury proletariackiej z Proletkultu i RAPP'u — działała najdłużej ze wszystkich innych teoryjek idealistycznych maskujących się frazesem wulgarnej socjologii.

3.

Jak wiemy, zasadniczym błędem koncepcji lingwistycznych Marra było traktowanie języka jako nadbudowy, jako formy ideologii klasowej. Marrowcy ukazywali obraz rozpadu społeczeństwa na klasy, z których każda posiada swój odrębny język; jednocześnie negowano istnienie języka ogólnonarodowego. Na tle tej urojonej perspektywy Marr wysnuł swoją teorię rewolucyjnych zmian językowych. Przy tym język klas zamierających, ustępujących miejsca na arenie dziejowej klasie proletariackiej nie mógł, według wniosków marryzmu, służyć proletariatowi, w treści swej nie mógł odpowiadać potrzebom budownictwa socjalistycznego, zaś forma jego powinna była pozostawać w sprzeczności z umysłowością mas pracujących. „Tu trzeba mówić nie o reformie pisowni lub gramatyki — pisał Marr — lecz o zastąpieniu norm języka, o przestawieniu go na nowe tory istotnie masowej mowy". Jak miała wyglądać ta „mowa masowa", bliżej nie określono. W tych niesprecyzowanych koncepcjach języka przyszłości — języka proletariatu Marr kształtował utopijną wizję języka pozostającego w sferze myśli, wyzwolonego z krępujących więzów „języka mechanicznego". Teoria ta nie była tak naiwna, jak to się może wydać w pierwszej chwili. Podsycała ona dawne formalistyczne utopie języka „pozarozumowego", słowotwórstwa futurystów, skojarzenia dźwiękowe i inne sztukmistrzowskie praktyki degenerującej się literatury burżuazyjnej. W swej zasadzie idealistyczne koncepcje Marra o wyższym stadium rozwoju języka, który ma sam przez się przezwyciężyć swą „mechaniczną" formę, skutkiem czego myśl wyzwoli się od kształtu słowa, było niczym więcej, jak próbą usprawiedliwienia dekadenckiego formalizmu, podważającego autorytet słowa jako jednostki logicznej, a przez to samej myśli.

Podważanie to zapoczątkowała filozofia idealistyczna. Pod jej wpływem atak na rozum rozpoczęto w literaturze od deklaracji poetyckich powstałych w okresach reakcji politycznej. Usprawiedliwiano je wówczas jako objaw rezygnacji i zwątpienia. Ale w rzeczywistości sygnalizowały one rozpoczynający się proces oderwania się jednostki od społeczeństwa. Nazwanie słowa „kłamstwem", niewiara w celowość wypowiedzi, której nikt nie jest zdolny zrozumieć, skargi na bezsilność mowy wobec wewnętrznych przeżyć, nieprzetłumaczalnych na język ludzki — taka była treść tych pierwszych, jeszcze nieśmiałych deklaracji. W następnych latach, sztuka dekadencka dokonała próby całkowitego wyeliminowania myśli z utworu literackiego. Słowo, pozbawione treści logicznej, stało się igraszką formy, zamieniło się w dźwięk bez znaczenia, lub ozdobę graficzną. W najlepszym wypadku przywracano mu rolę niejasnego kojarzenia podświadomych impulsów pozostających w sferze majaczeń.

Takie dziedzictwo, oparte na dość silnej tradycji, otrzymała rosyjska poezja porewolucyjna. Różnego rodzaju imażyniści, futuryści, „pozarozumowcy" propagowali swoje kuglarstwo językowe pod szyldem ostatniego słowa sztuki rewolucyjnej. Trzeba było dopiero wielkiego talentu Majakowskiego, aby twórczo przezwyciężyć ten hałaśliwy jarmark. Trzeba było konsekwencji i artyzmu wielkiego realisty Gorkiego, aby z tego chaosu wyprowadzić młode pokolenia pisarzy radzieckich, reprezentujące zdrowy styl realizmu socjalistycznego. Na tę drogę skierowała ich wiedza marksizmu-leninizmu, to zadanie ułatwiła im partia, która prostowała linię kulturalną, coraz głębiej ingerując w różne dziedziny życia kulturalnego.

Mimo to jednak długo jeszcze — w znacznej mierze wskutek wulgarnych teorii socjologicznych Proletkultu i RAPP'u — pisarze i poeci pewnych ugrupowań nie potrafili zrzucić z siebie nalotów formalizmu. Konstruktywiści na przykład budowali swój styl na dialektach, terminologii produkcyjnej, lub gwarach środowiskowych. Miało to być znów „ostatnie słowo" techniki artystycznej. Futurysta Chlebnikow próbował stworzyć „język przyszłości", podstawą zaś jego utopii był kosmopolityczny uniwersalizm. Formalizm zawsze szedł w parze z idealizmem. Oczywiście w praktyce utopie te nie przekraczały wynaturzeń „nadrealizmu". Chlebnikow np. opierał swoje „słowotwórstwo przyszłości" na selekcji słów podług dźwięków „charakterystycznych" dla pojęć. Opierając się na tej chwiejnej podstawie wnioskował na przykład, że dźwięk „cz" oznacza objętość, ponieważ rozpoczyna wiele wyrazów tego typu, co czasza, czaszka, czepek, czerep, czółno itd. Podobne pseudonaukowe badania lingwistyczne różniły się od teorii Marra o języku czystej myśli, „wyzwolonej od kształtów mechanicznych mowy", tylko tym, że autorzy ich w swym cynizmie nie krępowali się zupełnie występowaniem z jawną bezsensownością; Marr, natomiast, nie będąc w stanie skonkretyzować swej oderwanej utopii, podsuwał im teorię podniecającą ich anarchistyczne wybryki. Istotnie zaś celem wszystkich nonsensów formalistycznych była tendencja poniżenia myśli, a tym samym rozumnej istoty człowieka.

4.

Utopijny „język przyszłości" był wszekże tylko jednym ze szczegółów idealistycznych koncepcji Marra. Badając język potraktowany jako nadbudowa ideologiczna, Marr oraz adepci jego teorii o stadialności rozwoju języka, zawsze i wszędzie podkreślali zjawiska przejściowe, właściwe poszczególnym środowiskom, nie zaś stałe, ogólnonarodowe. Wywoływało to niebezpieczne pomieszanie pojęć języka i dialektu, języka i żargonu. Nie bez wpływu marryzmu, naturalistyczna tendencja naśladowania gwar i błędów wymowy znajduje w pierwszych latach porewolucyjnych tak szerokie zastosowanie w powieści rosyjskiej. Aczkolwiek trudno byłoby oczywiście wyśledzić bezpośrednie związki między teorią lingwistyczną, a praktyką pisarską, intencja ich jest rażąco wspólna, ponieważ polega na przesadnym zainteresowaniu dialektem regionalnym i gwarą. Zainteresowanie to sięga w utworach poetyckich i prozaicznych, ukazujących się w dwudziestych latach bieżącego stulecia, aż do fonetycznego naśladowania, aż do wprowadzenia nawet specjalnych znaków dla dźwięków podsłuchanych w mowie potocznej. Robił to na przykład poeta Selwiński, naśladując wymowę kozacką lub cygańską, stosowała to Sejfullina w swoich wczesnych powieściach, wtrącając słowa i zwroty w żargonie złodziejów, lub w dialekcie regionalnym sybirsko-uralskim. W tym samym okresie stosuje to Wsiewołod Iwanow, fonetycznie naśladując dialekt wsi sybirskiej i język mongolski, a także łamany język rosyjski, jakim posługują się Chińczycy i Japończycy. Leonid Leonow w **„Powrocie Buddy"** przytaczał całe ustępy w języku tatarskim, nie tłumacząc ich na rosyjski. Jedynie na końcu książki była umieszczona ogólna wskazówka, że tatarskie wyrazy należy wymawiać kładąc akcent na ostatniej sylabie.

Nic dziwnego, że język tych utworów został powitany przez formalistów jako poszerzenie „pozarozumowości". Futurysta A. Kruczonych, jeden z „twórców" nonsensów „pozarozumowych", wydał w roku 1925 książkę, w której na przykładach prozy Sejfulliny, W. Iwanowa, Leonowa, Babela i in. dowodził słuszności swych założeń formalistycznych, według niego, wchłoniętych i uświęconych przez rewolucję. Była to próba przemycenia pod hasłem sztuki rewolucyjnej anarchistycznej metody, rozkładającej język na pozbawione jakiegokolwiek znaczenia dźwięki, którą futurysta „naukowo" nazywa „teorią względności słowa". W równej mierze niebezpieczne było zachwaszczenie języka literackiego przez wprowadzenie wulgaryzmów, przez naśladowanie również z fonetyczną ścisłością niepoprawnej wymowy, przez używanie zniekształconych wyrazów w duchu literatury naturalistycznej. Tradycje tego „stylu" wywodziły się częściowo z prozy Leskowa, wielkiego znawcy dialektów i przemian języka rosyjskiego na przestrzeni wieku XIX, ujemną jednak stroną pogłębiania tego zjawiska było to, że pisarze porewolucyjni doszukiwali się w naśladowanej mowie analfabetów cech „nowego języka", który uważali za język proletariatu. Niektórzy mieli nawet ambicję „stworzenia" dla nowej epoki proletariackiej specjalnego języka na podstawie podsłuchanych na ulicy wulgaryzmów. W tej swojej intencji byli oni zgodni z teorią stadialnego rozwoju języka marrowców, która ze swojej strony niewątpliwie popierała szkodliwe praktyki wulgaryzujących stylistów.

Dopiero analizując te sprawy, połączone z zagadnieniami języka literatury i stylu literackiego, widzimy, jaką bezcenną wartość posiadają wypowiedzi Stalina zadające druzgocący cios „nowej nauce o języku" szkoły Marra.

Historyczny proces wchłaniania dialektów regionalnych przez język ogólnonarodowy, genialnie ukazany przez Stalina, nabrał tym większej siły w latach porewolucyjnych. Próby utrwalenia dialektów i wulgaryzmów w sztuce nie tylko kolidowały z rzeczywistymi przemianami zachodzącymi w języku rosyjskim, lecz były tym samym wysoce szkodliwe. Z jednej strony, zaśmiecały one język utworów literackich, z drugiej zaś — dotkliwie krzywdziły naród radziecki, który szybko postępował w swoim rozwoju kulturalnym, zrzucając z siebie wszelkie oznaki dawnych braków i wad ciemnoty, analfabetyzmu, ignorancji. Wszystkie te ujemne cechy umyślnie i celowo kultywowane były przez rząd carów i kapitalistów, których kulturalny rozwój ludu napawał strachem przed zbliżającą się rewolucją. Obdarzanie ludzi radzieckich cechami całkowicie im obcymi, wywodzącymi się z najsmutniejszego okresu zacofania, zostało surowo napiętnowane w uchwale KC WKP(b), oraz w referacie Żdanowa w związku ze sprawą czasopism leningradzkich. Język literatury radzieckiej powołany został do szczytnej roli narzędzia podnoszenia poziomu kulturalnego mas czytelniczych. Warunkiem sprawności i skuteczności tego narzędzia była zdolność dotarcia do każdego odbiorcy utworu literackiego, a więc prostota i ścisłość. Wiemy, jak Lenin walczył o tę ścisłość, jak precyzował każdy wyraz, uważając, że najmniejsza niejasność języka powoduje niebezpieczeństwo niejasności ideologicznych. O życiowej konieczności stałej wymiany myśli mówi Stalin, dodając: „bez języka zrozumiałego dla społeczeństwa i wspólnego dla jego członków społeczeństwa zaprzestaje produkować, rozpada się i przestaje istnieć jako społeczeństwo. W tym sensie język, jako narzędzie komunikowania się jest zarazem narzędziem walki i rozwoju społeczeństwa".

Przeniesione w sferę zagadnień literatury słowa te są znakomitą ilustracją do genialnej tezy Stalina, nazywającej pisarzy „inżynierami dusz ludzkich". Doniosłość tych słów jest wybitnie mobilizującą, stanowiąc zarazem źródło natchnienia i wytyczne literackiej metody realizmu socjalistycznego.

Leon Gomolicki

EDWARD MARTUSZEWSKI

W PRACY LITERATA — TŁUMACZA

Maksym Gorki powiedział, że *„zasadniczym elementem literatury jest język, podstawowy oręż, oraz — razem z faktami, przejawami życia — materiał literatury"*. W artykule o realizmie socjalistycznym pisał: *„Najistotniejsze piękno języka, posiadającego siłę oddziaływania, powstaje dzięki precyzyjności, jasności, dźwięczności słów, które nadają formę obrazom, charakterom, myślom książki"*.

A Włodzimierz Majakowski przeprowadził następujące porównanie:

Poezja
to wydobywanie radu.
Dla uzyskania jednego grama
rok pracy.
Zmarnujesz
dla jednego słowa
tysiące ton
słownej rudy.

Dla każdego pisarza podstawowym „surowcem produkcyjnym" jest więc jego język ojczysty. Dla każdego pisarza jest on również orężem walki. Przy jego pomocy bowiem pisarz przekazuje odbiorcom swoich utworów własne myśli, bierze udział w walce i rozwoju społeczeństwa.

Wypowiedź Józefa Stalina na temat językoznawstwa nie porusza wprawdzie bezpośrednio zagadnienia przekładów, lecz mimo to daje dużo materiału o wielkiej wartości orientacyjnej dla literata - przekładowcy. Musi on zawsze pamiętać o tych, najważniejszych dla niego, stwierdzeniach:

„Słownictwo samo przez się nie jest jeszcze językiem. Jest ono raczej materiałem budowlanym języka".

„Ale słownictwo uzyskuje ogromne znaczenie, gdy zostaje oddane do dyspozycji gramatyki".

„Słownictwo języka... znajduje się w stanie niemal nieprzerwanych przemian".

„Zmienia się ono nie tak jak nadbudowa, nie w drodze zniesienia tego co stare i budowy nowego, lecz w drodze uzupełnienia istniejącego słownika nowymi wyrazami".

„Budowa gramatyczna języka zmienia się jeszcze bardziej powoli, aniżeli jego podstawowy zasób słów".

„Struktura języka, jego budowa gramatyczna i podstawowy zasób słów są wytworem wielu epok".

W tych słowach Józefa Stalina znajdujemy określenie zasadniczych cech charakterystycznych każdego języka, jego głównych elementów składowych i rozwojowych. Stwierdzenie to determinuje podejście literata - przekładowcy do dwóch zasadniczych elementów języka, jakimi są: gramatyka i słownictwo. Chcąc precyzyjnie i właściwie stosować formy gramatyczne, oraz wybierać odpowiednie słowa literat-przekładowca musi znać obydwa języki w ich rozwoju historycznym, nie może ograniczyć się do znajomości powierzchownej, „naskórkowej". Znajomość obu języków musi więc mieć u niego podbudowę *naukową*, musi on być *językoznawcą*, a nie tylko „znającym język". Dyletantyzm językowy w pracy literata-przekładowcy musi doprowadzić do tego, że wyniki jej będą przypadkowe i nigdy nie będziemy mieć pewności, czy następny przekład utrzyma się na poziomie poprzedniego.

Choć język jest ośrodkiem komunikowania się ludzi, umożliwia im wzajemne zrozumienie się i zorganizowanie wspólnej pracy, to jednak inaczej ten proces porozumienia przebiega np. w auli uniwersytetu, na wykładzie profesora fizyki, a inaczej w audycji poetyckiej nadawanej przez radio, czy też urządzonej w świetlicy. Tak poeta jak i profesor posługują się tym samym językiem, tą samą gramatyką i czerpią z tego samego zasobu słownictwa, ale podczas gdy pierwszy z nich pragnie oddziaływać przede wszystkim przy pomocy obrazów, emocjonalnie, pragnie wzruszać i tą drogą wywoływać u słuchacza myśli, które są jego własnymi myślami, drugi dba przede wszystkim o precyzję sformułowań, o zachowanie zasad logiki i oddziaływuje na intelekt ludzi, z którymi komunikuje się przy pomocy tego samego języka. Pierwszy z nich *pokazuje*, drugi *wykazuje*, a łączy ich to, że obaj starają się *przekonać*. Tak więc, posługując się tym samym językiem możemy wybierać różne *środki wyrazu:* artystyczne, publicystyczne, naukowe itd.

Literat, posługując się wspólnym dla wszystkich członków jego narodu językiem, stosuje dowolne, różne środki wyrazu. Przekładowca musi więc być świadomym tego, „w jakiej proporcji" artystyczne środki wyrazu np. Bolesława Prusa, zwane potocznie językiem Prusa, pozostają do innych środków wyrazu w języku polskim, w jakim stosunku pozostają one do środków wyrazu, stosowanych przez innych pisarzy polskich, które określa się sumarycznie jako „polski język literacki". Przeanalizowanie tych wzajemnych stosunków nie jest potrzebne czytelnikowi, odbiorcy, dla odczucia piękna i zrozumienia wartości artystycznej utworu, nawet jeśli ten utwór napisany jest w języku obcym dla niego, ale staje się nieodzowne dla przekładowcy, który jest pośrednikiem. Musi on bowiem znaleźć w swoim języku ojczystym takie środki wyrazu, które byłyby właściwymi odpowiednikami środków wyrazu artystycznego, zastosowanych w oryginale.

Przed każdym pisarzem stoją nieograniczone możliwości posługiwania się istniejącymi już środkami wyrazu i tworzenia nowych. Inaczej rzecz ta ma się w wypadku literata-przekładowcy. Dla przekładowcy bowiem granicą wyboru środków wyrazu artystycznego jest granica poziomu artystycznego, osiągniętego przez autora oryginału. Dobry przekładowca powinien więc być *wytrawnym krytykiem*, powinien umieć w naukowy sposób określić pozycję przekładanego utworu i jego autora w literaturze obcej po to, aby z taką samą precyzją określić jakie miejsce przekładany przez niego utwór powinien zająć w drugiej literaturze.

Sprawa środków wyrazu jest jednakże nie tylko sprawą *świadomości krytycznej*, ale również sprawą *możliwości artystycznych* danego literata - przekładowcy. Zastosowanie właściwych, artystycznych środków wyrazu decyduje o wartości przekładu i jest zarazem największą jego trudnością. Już Bieliński pisał: *„Jedna jest zasada dla przekładu utworów artystycznych — należy przekazać ducha tłumaczonego utworu, a nie można tego uczynić w inny sposób, jak tylko przekazując go w języku rosyjskim tak, jakby napisał po rosyjsku sam autor, jeśliby był Rosjaninem"*.

Odpowiedzialność artystyczna tłumacza jest nadzwyczaj wielka. Praca jego bowiem ma wzbogacić kulturę drugiego narodu przez przyswojenie językowi, jakim ten naród włada, utworu napisanego w oryginale w innym języku. Literat-przekładowca powinien więc w pełni przekazać treść ideową (pomocą w tym będzie dla niego wspomniane już poprzednio, przygotowanie naukowo-krytyczne), oraz charakterystyczne dla tego utworu walory artystyczne. Tak więc — po trzecie — przekładowca musi być również *artystą, czułym na piękno* i umiejącym przekazać je swoim czytelnikom.

Józef Stalin w swej wypowiedzi na temat językoznawstwa pisze:

„Język i prawa jego rozwoju można zrozumieć tylko w tym wypadku, gdy bada się go w nierozerwalnym związku z historią społeczeństwa, z historią narodu, do którego badany język należy i który jest twórcą i nosicielem tego języka".

Historia języka jest więc ściśle związana z historią społeczeństwa, jest niejako jej syntetycznym odzwierciedleniem. Każdy język obsługiwał w przeszłości różne bazy i różne nadbudowy. Ale te bazy i nadbudowy w różnych krajach miały — oprócz wspólnych cech ogólnych — swoje cechy charakterystyczne i faktu tego nie można pominąć w badaniach nad językiem, z którego się tłumaczy i w badaniach nad językiem, na który się tłumaczy. Poprzez zadania językoznawcy, które określiłem jako pierwszy obowiązek literata - przekładowcy, musi on dojść do pogłębienia (w historycznym i dialektycznym ujęciu) swojej *wiedzy o kulturze* obu narodów. W tym znawstwie przeszłości i teraźniejszości kulturalnej obu narodów zawierają się również dwie dalsze cechy charakterystyczne literata - przekładowcy, a więc przygotowanie krytyczne, uzdolnienia artystyczne.

Praca literata-przekładowcy określana bywa jako praca odtwórcza, a nie twórcza. Wynika to z faktu, że tłumacz skrępowany jest istnieniem oryginału, w stosunku do którego spełnia niejako rolę służebną.

W tych słowach Józefa Stalina znajdujemy potwierdzenie tego, że rozdzielanie myśli od słów, treści od formy, prowadzi jedynie na manowce. To też, jeśli z jednej strony musimy wymagać od tłumacza, aby był mistrzem słowa nie oznacza to, że wymagamy od niego jedynie „wierności słów". Tłumacz musi rozumieć nie tylko poszczególne słowa, czy też zespoły słów tłumaczonego utworu, ale musi rozumieć również myśl całej książki i poszczególnych jej części.

Nierozerwalność treści i formy nie podlega „odwołaniu" w odniesieniu do pracy literata-przekładowcy. Jego postawa twórcza nie może być bierną, ale musi być „współtwórczą". Cyzelując styl przekładu, dobierając nowe słowa i zastępując nimi poprzednio użyte, literat-przekładowca zmienia „treść" utworu, zbliżając się, lub oddalając od oryginału.

Błędna jest również teoria t. zw. „wolnego przekładu", który rzekomo dąży do zachowania myśli utworu bez kurczowego trzymania się słów. „Wolny przekład" w takim samym stopniu nie jest przekładem, jak nie jest nim „przekład dosłowny", nie dbający o oddanie sensu całości, a zmierzający jedynie do mechanicznego przekopiowania poszczególnych słów.

Nierozerwalność treści i formy, myśli i języka, na którą wskazuje Józef Stalin, zmuszają tłumacza do czynnej, „współtwórczej" postawy wobec stojącej przed nim pracy, nie pozwalając na chowanie się za parawan usprawiedliwienia: „jestem tylko odtwórcą".

Wypowiedź Józefa Stalina wprowadziła marksizm do językoznawstwa, zlikwidowała fałszywe i prowadzące na manowce teorie pseudonaukowe, stworzyła podstawę do dalszych badań w zakresie nauki o języku, będącym, jak to powiedział Gorki, *„zasadniczym elementem literatury"*. W oparciu o prace Józefa Stalina powinna się również rozwinąć dyskusja na temat marksistowskiej teorii przekładu, oraz na temat zastosowania zasad estetyki marksistowskiej w odniesieniu do pracy literata-przekładowcy.

Edward Martuszewski

HENRYK BEREZA

NA MARGINESIE NOWYCH OPOWIADAŃ O WSI

Żniwa 1950. Z organizacji partyjnej w Kowalowicach wychodzi myśl założenia spółdzielni produkcyjnej. Kułacy są zdecydowanymi wrogami (Cholaś, Wlizło, Sobieraj), od nich uzależnieni są biedniacy (Sowa), a średniacy (Paluch, Ziętal)

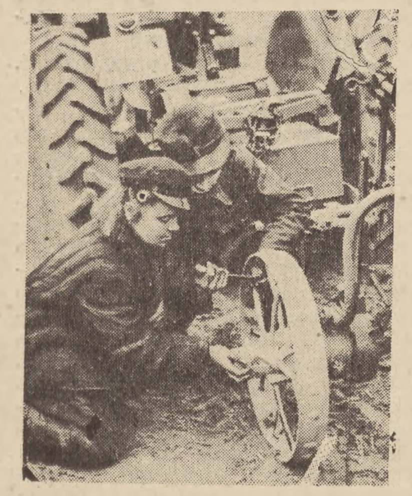


Foto - WAF

chcieliby, ale się boją. Sekretarz Partii Nideryk wraz z innymi członkami Partii wytrwale agituje, pomaga mu koło ZMP, kułacy nie pozostają jednak bierni, partyjniakom Trzepizorowi i Chybie wrzucają rower do gnojówki, rzucają komieniemi do sal zebrań, rozgłaszają fałszywe listy o nędzy w spółdzielniach produkcyjnych, rozbijają biedniaków. Skrupulatnie rejestruję metody kułackie, gdyż jak Adolf Lekki zaznacza w przedmowie do swego obszernego opowiadania „Przełom" zależy mu „na wiernym odtworzeniu przebiegu walki klasowej w gromadzie Kowalowice", na wykazaniu trudności, „jakie napotykali organizatorzy spółdzielni produkcyjnej w tej gromadzie".

Na jakie to trudy zdobyli się organizatorzy spółdzielni w Kowalowicach? Cholaś sam się pogrążył, dostał bowiem trzy miesiące aresztu za pobicie Sowiny, Sobieraj, bezradny i strwożony trząsł się jak osika, gdy mu na zebraniu wygarnięto historię z listami, Wlizło ucichł sam, Niderykowa w dwudziestominutowej pogaduszce na ucho przekonała Ziętalową, Paluch dał się rozsądnie przekonać Niderykowi i przed jesiennymi żniwami 1950 trzydziestu chłopów z wioski liczącej siedemdziesiąt zagród wstąpiło do spółdzielni produkcyjnej tylko drugiego typu, gdyż wśród członków spółdzielni przeważali średniacy. Wszystko razem — dziecinna szopka z prymitywnymi kukiełkami.

Gdyby autor opowiadania bystrzej przyjrzał się Kowalewicom, dostrzegł by, że kułacy nie są tak rozbrajająco naiwni, że walka klasowa to nie mniej, lub więcej dziecinne kawały kułackie, a uczciwi chłopi to nie pierwotne małpoludy (wątpić należy w spostrzegawczość obywatela Lekkiego, bo w „Przełomie" dzieci w czasie żniw chodzą do szkoły, parobek Antek na jednej stronie zbiera pieniądze na buty, na drugiej na ubranie). I na domiar tego autor dość niefrasobliwie pisze, że zależy mu, aby książka „dostała się w ręce najliczniejszych rzesz chłopów, aby pokazała im, w jaki sposób kułak i spekulant otumaniają ich i utrudniają przystąpienie do spółdzielni".

Dość jednak kpinek, bo sprawa jest poważna. W okresie, gdy wieś polska nadrabia w ciągu lat wieki całe, gdy lata stanowią epoki, gdy mnożą się doświadczenia, piętrzą trudności nie tylko już literatura w pełnym tego słowa znaczeniu, ale każde rzetelnie zapisane spostrzeżenie ma wartość ogromną, uczy, wychowuje, ostrzega. W porównaniu z potrzebami o współczesnej problematyce wiejskiej pisze się zadziwiająco mało. Jedna, dwie powieści, sztuka dramatyczna, kilka opowiadań, kilkanaście reportaży i kilkanaście wierszy — słowem roczna produkcja literacka o tematyce wiejskiej ilościowo nie jest współmierna z wagą dokonywujących się przeobrażeń na wsi, jakościowo pozostawia zaś, zbyt wiele do życzenia. J. A. Król w „Rozmowach Warsztatowych" („Wieś" Nr 16) nakreślił wnikliwie problematykę literatury o współczesnej wsi, wytypował niemal dla każdego roku, począwszy od historycznego dekretu o reformie rolnej punkty węzłowe, wykazał, jak etap po etapie wieś postępuje naprzód w procesie socjalizacji produkcji, wymiany i zbytu, upatrując w permanentnym postępie, w układzie sił wytwórczych na wsi źródła niepowtarzalnych problemów dla literatury. Ale pisarze, dla których centrum zainteresowań winny stanowić procesy ideologiczne, dla których układ stosunków w bazie jest głównie źródłem historycznie ustawionych konfliktów międzyludzkich, mogą przedstawiając te same etapy rozwojowe w bazie, za punkt wyjścia brać różne fazy świadomości społecznej. Różnorodność możliwych układów w życiu, warunkuje odrębność przebiegu ogólnokrajowych procesów w każdym terenie. Skup zboża, wielka akcja roku 1950-51, miał odrębny przebieg niemal w każdej gromadzie, bo inna w każdej gromadzie jest pozycja kułaków, inny jest stan oświaty, różnorodne są tradycje polityczne itd. Dlatego każdy korespondent terenowy, podpatrując bacznie życie w swoim terenie, może dostarczyć nowych i cennych spostrzeżeń o przebiegu procesów ogólnie znanych, powszechnych. W Baraniej Głowie biedniak może, dopiero w 1951 roku uświadomić sobie swoją pozycję społeczną, zrozumieć swój interes, wyrwać się spod wpływów kułackich, ale biedniak ten ma poza sobą doświadczenia przemian sześciu lat powojennych, których przedtem nie rozumiał, a których sens zrozumie dopiero teraz. Ziętalowa z Kowalowic mogła się przeobrazić dopiero jesienią 1950 roku, po rozmowie z Niderykową, ale przecież nie pod wpływem jej obiecanek, że traktor, że elektryczność, że przedszkole. Gdyby autor znał prawdziwą kobietę wiejską, po rozmowie z Niderykową wsadziłby Ziętalowej w usta babskie powiedzonko: „obiecanki, cacanki, a głupiemu radość". Jeśli Ziętalowa się przeobraziła to chyba dlatego, że traktor już orał jej ziemię, że jej córka nie przedszkole, ale kurs traktorzystek ukończyła, że nie tylko elektryczność, ale i dom nowy jej potrzebny. Z tego, co Adolf Lekki powiedział o kowalowickich biedniakach i średniakach, można tylko wnioskować, że decyzję założenia spółdzielni podjęli najzupełniej niepoważnie, że ze spółdzielni nic nie będzie, że poczciwy Paluch zęby zje, a przewodnictwa spółdzielni nie rozgryzie. Piszący o terenie bez aspiracji do szerszych uogólnień winien przynajmniej skrupulatnie notować stan faktyczny. Stan ten niewątpliwie będzie odbiegał od ideału, ale obowiązkiem piszącego jest wtedy wyjaśnienie przyczyn, wskazanie środków zaradczych. To powinno być ambicją twórczą każdego korespondenta i reportażysty. Jeśli w Kowalowicach do jesieni 1950 roku działo się wszystko jak za króla Ćwieczka, jeśli biedniakom i średniakom już w 1947 i 1948 roku nikt nie przyszedł z pomocą, jeśli chłopi tamtejsi nie wyszli poza krąg kapitalistycznych wyłącznie doświadczeń w produkcji i wymianie — to źle się działo w Kowalowicach i autor powinien powiedzieć, dlaczego tak się działo, kto ponosi za taki stan odpowiedzialność.

A co z kułakami w Kowalowicach? Naiwni oni, głupi i tchórzliwi. Ponieważ w Kowalowicach nie było reformy, ZSCh, SOM-u, kontraktacji, skupu zboża, podatków znudzeni kułacy zabawiali się rzucaniem kamieni, topieniem rowerów (dla przekory więcej, niż potrzeby), a do spółdzielni gotowiby sami nawet wstąpić. Kułak Sobieraj był podobno sędzią sanacyjnym. Ho, ho — kułak nie byle jaki! Jeśli Cholaś i Wlizło — to prawdziwe capy i o polityce, ani mrumru to sędzia Sobieraj chyba o N.S.Z. słyszał, chyba coś dla „ojczyzny" działał, chyba jakieś horoskopy na przyszłość miał, jeśli nie stawał w obronie „przedwojennej Polski" to przynajmniej sprawa „boga i religii" nie była mu obca. Zadziwiające jest, jak pod piórem wielu naszych pisarzy walka społeczna zatraca wszelkie aspekty polityczne.

Jeśli w całym kraju powstaje tysiące spółdzielni produkcyjnych, jeśli spółdzielnie te podnoszą naszą gospodarkę na coraz wyższy poziom, jeśli trzynaście tysięcy POM-owskich traktorów weźmie udział w jesiennych pracach, to jest to tylko dzięki temu możliwe, że w 44 roku przeprowadzono reformę rolną, w 47 i 48 zlikwidowano kułacką władzę, że wprowadzono nowoczesne maszynowe sposoby uprawy ziemi, że zlikwidowano analfabetyzm, zelektryfikowano i zradiofonizowano tysiące wsi. Spółdzielnie produkcyjne są kolejnym ogniwem w procesie przemian, a nie wyłącznie owocem lepszej, czy gorszej agitacji.

Nakreślona przez Króla główna linia rozwoju wsi ulega skrzywieniom, gdyż na skutek tego, że w świadomości chłopów tkwi jeszcze wiele przeżytków starego, emancypacja biedniaków ulega zahamowaniu". Zahamowania te są wynikiem także tego, że gospodarka drobnotowarowa jest w swej istocie jednorodna z kapitalistyczną, że gospodarka ta stanowi bazę rozwojową dla kapitalizmu. O ile istnienie starego w sferze świadomości jest uwarunkowane nie tylko istnieniem starej bazy, ale i trwałością, oraz względną autonomią przeżytków starej nadbudowy, o tyle kształtowanie się nowej świadomości jest funkcją strukturalnych zmian w bazie. Opowiadania Joanny Żwirskiej (pt. „Światło") dotyczą przeobrażeń w sferze świadomości. Ich błędnym założeniem ideologicznym jest niedostateczne uwypuklenie funkcjonalnej zależności tych zmian od ekonomicznych i politycznych stosunków.

Młoda nauczycielka Janka Czubacka przybywa do odległej od miasta wioszczyny. Mimowoli przypomina się taka dziewczyna, która przed półwiekiem poświęciła się (bo taki wówczas sens miał wyjazd młodej, zdolnej i wykształconej dziewczyny na wieś), by nieść światło pod chłopskie strzechy, by pisać proste podręczniki dla chłopskich dzieci. Tamta dziewczyna sprzed kilku dziesiątków lat straciła siły i zdrowie i praca jej nie przyniosła, bo nie mogła przynieść owoców. Tragicznymi bohaterkami były ówczesne siłaczki. Janka Czubacka zawitała do zapadłej wioszczyny i po kilku miesiącach trudy jej uwieńczyły wyniki, od których pękłoby ze szczęścia biedne serduszko „Siłaczki".

Oto Marcelina Wieczorek, ciemna, porzucona przez męża baba wiejska ukończyła kurs dla analfabetów i rozjaśniło się jej w głowie, wypełniła się pustka życiowa, Marcelina zrozumiała sens nowego ładu, sens wrogo dotychczas traktowanych zmian. To tak jakby dawną zahukaną Rzepową uczynić nowym i światłym człowiekiem. Oto młode dziewczęta, piszące pierwszomajowe listy do przodowników pracy. Jak odległe są widma Janków Muzykantów, Antków i Michałków bez szczęścia, bez radości, bez przyszłości i celu. Nowe pokolenie prawie wolne od obciążeń przeszłości, pokolenie socjalizmu. Opowiadania Joanny Żwirskiej zawierają trafne, nawet śmiałe obserwacje o dużej sile wymowy, ale obserwacje te wydają się tak powierzchowne, jakby robione były przez obcokrajowca, który Polskę znał tylko z literatury i dziwił się, że nowe spostrzeżenia w żadnej mierze nie odpowiadają wyobrażeniom dawnym. Notowane przez Żwirską fakty



Foto - WAF

świadczą, jak realizują się odwieczne marzenia ludu polskiego, wyrażane przez największych polskich artystów i myślicieli, ale fakty te wymagają interpretacji, wymagają analizy w głąb. Przecież nie jest zasługą Janki Czubackiej, że Marcelina Wieczorek przejrzała na oczy. Wszystkie dzieci marzą o przyszłej pracy, Antek Prusa, gdyby pisał na swój temat, nie kryłby się z tym, że pragnie zostać inżynierem, chcielibyśmy wiedzieć skąd wypływa pewność, że Kuleszówna, Baloch czy Kunicka dopną swego. Literatura musi pogłębiać wiedzę o życiu, bo inaczej traci rację bytu.

W „Weselu Bronki" pokazuje Żwirska obrazek z nowej obyczajowości wiejskiej. W skład dziedzictwa kulturalnego narodu socjalistycznego wejdą najcenniejsze elementy kultury ludowej, ale z kulturą ludową nic nie mają wspólnego pijackie uczty weselne, skojarzone w sposób sztuczny z weselnymi obrzędami kościelnymi. Tradycja „Chłopskiego wesela", zaspokajającego dzięki teatralnej fakturze zapotrzebowanie estetyczne chłopa, zanika w sposób naturalny. Uroczystość weselna młodej pary zetempowskiej, urządzona w ramach wieczornicy organizacyjnej stanowi piękny przykład twórczego przetworzenia tradycji obyczajowej, ale jedynie literacka egzotyka tematu ratuje ubogie koncepcyjnie opowiadanie. Wyobcowanie problematyki ideologicznej od powiązań z bazą spowodowało płytkość filozoficznego ujęcia, niedostrzeżenie walki klasowej uwarunkowało statyczność opowiadań, ich czysto opisową technikę. W rezultacie Żwirska notuje osiągnięcia, pomijając zagadnienie, dlaczego i dzięki komu są one możliwe.

Opowiadania „Niedźwiedziowe pole", „Dom Agatki", „Droga Doroty" ratuje technika mechanicznych zresztą porównań. Na „Niedźwiedziowym polu" dziedzic w czasie polowania zabił pańszczyźniaka Macieja Kabata, jego córka sędziwa Marianna Stawiarzowa na tym samym polu rozpoczyna spółdzielcze żniwa tradycyjnym sierpem, choć nie przy pomocy sierpa, ale kombajnu będą pracować spółdzielcy. Dla komornicy Agatki nie było miejsca i pracy w kapitalistycznej wsi, w spółdzielni Agata prowadzi hodowlę pszczół i na stare lata otrzymuje własny kąt. Sołtys Dorota posiadająca wybitny talent malarski w czasach kapitalizmu mogła być tylko służącą, w nowej Polsce zdobyła wykształcenie i jako stypendystka będzie się kształcić w Akademii Sztuk Pięknych. Konfrontację losów ludzkich w dwóch ustrojach społecznych są efektowne, ale rezygnacja z pokazania mechanizmu dziejowego postępu społecznego świadczy o malutkich aspiracjach twórczych.

Charakter dynamiczny ma opowiadanie tytułowe „Światło". Rozwiązując węzłowy konflikt (elektryfikacji jednej wsi) farsowym chwytem (nauczyciel groźbą spalenia słupów pobudza wieś do działania) pogrzebała Żwirska możliwość pokazania rzeczywistości wiejskiej w procesie rozwoju.

W uwagach nad opowiadaniem Lekkiego usiłowałem wykazać, jak szerokie są możliwości twórczych dociekań piszącego o terenie, przy opowiadaniach Żwirskiej trzeba wskazać na fakt, że nawet najbardziej ułamkowe syntezy muszą się opierać na dialektycznym i rozwojowym pojmowaniu rzeczywistości. Gruntowna wiedza o życiu jest niezbędnym warunkiem twórczego pisarstwa, umożliwia przezwyciężenie schematów i płycizn.

Henryk Bereza

Adolf Lekki „Przełom" Książka i Wiedza 1951 stron 104, 4 nlb. **Joanna Zwirska** „Światło" Czytelnik 1951 stron 102, 2 nlb.

DANUTA BRZOZOWSKA

PAMIĘTNIK SŁUŻĄCEJ*)

Oto jeszcze jedna z książek-wspomnień, pisana nie przez zawodowego literata, ale przez człowieka pracy, który spowiada się z ciężkich przejść swego życia, zmarnowanego w ustroju ucisku, wyzysku i nędzy. „Ludzie i nieludzie" Józefy Witowskiej są pamiętnikiem służącej. Autorka nie posiada literackiego wyrobienia i rozległych umysłowych horyzontów twórcy „Starego i nowego". Jej dzieło nosi wiele cech prymitywu i słusznie też Anna Kamieńska, autorka przedmowy, zestawia je z chłopskimi pamiętnikami wydawanymi w okresie dwudziestolecia przez Instytut Gospodarstwa Społecznego. Jednak, ani pewne chropowatości stylu, ani nieporadny w wielu miejscach układ materiału nie są w stanie odebrać tym wspomnieniom silnej, głęboko ludzkiej wymowy. Protest przeciw krzywdzie, podjęty przez człowieka, wywodzącego się ze środowiska brutalnie wyzyskiwanego, a najbardziej przy tym bezbronnego (wyrobnicy — chałupnicy) ,oraz demaskatorska krytyka warstwy uprzywilejowanej są bardzo istotnymi wartościami książki Witowskiej.

Autorka jest córką sproletaryzowanego chłopa, który będąc jednym z pięciorga „dziedziców" półtoramorgowego gospodarstwa, przeniósł się do miasteczka (gdzieś w okolicach Koła czy Kalisza), by pracować chałupniczo jako tkacz. Wraz z ojcem tkała cała rodzina — również pięcioletnie dzieci, ale przedsiębiorcy, dla których wykonywano robotę, stosowali tak niemiłosierny wyzysk, że stale oglądano się za innymi zajęciami. Ojciec wynajmował się do pracy w browarze i na budowie, pomagał w czasie robót na wsi, jeździł na zarobek do Prus. Matka prała i chodziła na posługi. Wszystkie te jednak marnie opłacane prace, przeplatane zresztą częstymi okresami bezrobocia, nie mogły ochronić rodziny wyrobnika od nędzy i głodu. W warunkach takich do zarobkowania zmuszone były również zupełnie małe dzieci. Witowska pisze, że nie pamięta siebie nie pracującej. W najwcześniejszym dzieciństwie pomagała przy tkaniu, zaś w wieku lat pięciu została oddana przez matkę na pierwszą służbę do gospodarza na wsi. Bolesna jest opowieść Witowskiej o losach proletariackiego dziecka. Nie tylko głód i chłód dają mu się we znaki, ale krzywdę znosi również od rodziców, których nieludzkie warunki egzystencji wyczerpują nerwowo i znieczulają na cierpienie własnych synów i córek. Mała Witowska bita jest przez matkę przy każdej okazji, często w ogóle bez powodu; wraz ze swym młodszym bratem zmuszana jest do robót, którym podołać nie mogą jej dziecięce siły. Mimo to, sięgając pamięcią do owych czasów, potrafi matkę wytłumaczyć. „Matka była nerwowa" pisze — „Może denerwowało ją to, że często nie było co ugotować, a nawet czym rozpalić ognia".

Anna Kamieńska trafnie ocenia opis dzieciństwa autorki jako najbardziej interesującą partię „Ludzi i nieludzi"; podkreśla wyrazisty obraz rozkładu robotniczej rodziny niszczejącej wskutek bezrobocia i niedostatku. Dodajmy, że najmłodsze lata Witowskiej są jedynymi, w których styka się ona bezpośrednio, czy nawet uczestniczy w rewolucyjnej walce klasy robotniczej. Ojciec autorki był socjalistą, brał udział w wypadkach r. 1905 i musiał długi czas się ukrywać przed ścigającą go policją carską. Ciotka, siostra ojca, kolportowała rewolucyjne broszury i ulotki, zaś mała Witowska służyła po swojemu proletariackiej sprawie, gdy wobec groźby rewizji przechowywała na własnym ciele te zakazane pisma. Późniejsze lata autorki nie są jednak, jak u Rudnickiego, stopniowym, coraz czynniejszym zespalaniem się bohatera z bojową ideologią robotniczą. Zadecydowała o tym droga życia Witowskiej. Nie zaprowadzi jej ona tam, gdzie płonął ośrodek walki o lepsze jutro — w szeregi proletariatu fabrycznego; los jej, jako służącej wplątanej w tryb życia mniej lub, bardziej zamożnego domu mieszczańskiego zawsze będzie ją w pewien sposób spychał na margines życia i dążeń jej klasy, zaliczał do drobnomieszczaństwa. Oczywiście nigdy nie zatrze autorka swej świadomości klasowej, zawsze potrafi zaznaczyć swoją odrębność i godność, jako człowiek pracy — ale pochód robotniczy obserwuje już tylko z brzegu chodnika. Fakt ten wystarcza zresztą, żeby ją usunięto ze służby: „Taka młoda komunistka. Skończy w więzieniu, albo na szubienicy" — oświadcza „chlebodawca" i z miejsca wyrzuca dziewczynę, bez żadnych skrupułów. Swą proletariacką solidarność demonstruje Witowska głównie pomocą, której udziela, ryzykując utratę pracy, bezdomnym dziewczętom, tułającym się po mieście w poszukiwaniu służby. Poza te jednostkowe i jednostek dotyczące czyny nie wychodzi. Środowisko Witowskiej, — nie mówiąc oczywiście o koniecznych kontaktach z „państwem" — to zawsze tylko ciasna sfera podobnych jej pracownic domowych.

Z wszystkich tych powodów, proletariackiej prawdy „Ludzi i nieludzi" szukać trzeba przede wszystkim w pierwszej, bardziej typowej w pewnym sensie części książki. Druga część ma inne znaczenie: jest żywą i trafną, miejscami naprawdę świetną krytyką rządzącej warstwy społecznej. Witowską, gdy zdobyła z biegiem lat sporo rutyny i doświadczenia, w wykonywanej pracy, zaczęły zatrudniać coraz to „lepsze" domy. W związku z tym ujrzała ona z bliska wszystkie niemal szczeble hierarchii, którą w klasie mieszczańskiej tworzy materialna pozycja: zarówno domy ubogich sklepikarzy, czy emerytów, jak i ministerialne salony. Z niekłamaną satysfakcją czytamy jej barwne i zwięzłe, z wyraźną żyłką satyryczną kreślone opisy środowisk. Ma ona zdolność wychwytywania i utrwalenia drobnego, charakterystycznego rysu; tworzy dialogi i scenki, których nie powstydziłoby się pióro Zapolskiej.

Stosunki w domu dygnitarskim nie będą się prawie różniły od zatęchłej drobnomieszczańskiej atmosfery. Dulszczyzna króluje tam w całej pełni. Obserwacja Witowskiej wykazuje wyraźnie, że wszystkie te cechy, które się zwykło przypisywać wyłącznie drobnomieszczańskiemu kołtunowi, — ciasnota pojęć, obrzydliwe sknerstwo, małostkowość, obłuda moralna — były równie pospolite w wielkim świecie sanacji. Pani ministrowa chowała się przed gośćmi, by im nie dawać podwieczorku; żona słynnego bogatego adwokata nie wypłacała służącej jej groszowej pensji. Panie, mimo wielkich arystokratycznych fum i pretensji, miały jeden tylko prawdziwie interesujący temat rozmów: sprawowanie i wady służących. Rodzina burżuazyjna była zresztą w stanie zupełnego rozkładu, a zmiany zaszłe w tym względzie od czasów pani Dulskiej, polegały na tym tylko, że dużo mniej precyzyjnie zachowywano pozory. Drastycznego przykładu dostarcza tutaj rozdział książki Witowskiej, zatytułowany „W księżym domu".

Spośród wszystkich środowisk, które opisuje autorka, rodzina adwokata warszawskiego, dorabiającego się kroci na wyzysku i brudnych machinacjach, jest najlepszym może obrazem moralnego upadku i społecznego szkodnictwa burżuazji. Pozycja służącej, — mimo zaznaczonego już wyżej zacieśnienia pola doświadczeń społecznych, — stwarzała jednak warunki dla krytyki nie tylko obyczajowej. Były podstawy i do społecznego oskarżenia. I tak Witowska zdolna jest zobaczyć w adwokackim domu, obok objawów cynicznego zepsucia, skąpstwa i zmaterializowania również fakty, odsłaniające bezpośrednie niesprawiedliwości i krzywdy panującego ustroju. „Dowiedziałam się — pisze Witowska o adwokacie — że przed paru miesiącami z jakimś kolegą otworzył do spółki restaurację. Pobrali kaucję od personelu, a po paru tygodniach interes zlikwidowali. Gdy ludzie przyszli do pracy, znaleźli drzwi zamknięte — kaucji, ani pensji, ani śladu. Nie było innej rady, tylko oddać adwokata pod sąd. On zaś bywał w sądach, więc ile razy sprawa podchodziła na wierzch, adwokat akta chował pod spód". Sprawy takie i im podobne uczyły autorkę rzutować swoją własną krzywdę na szerokie tło ogólnokapitalistycznego wyzysku; pokazywały jej, jak prawa człowieka pracy były brutalnie deptane w państwie, które pozwalało za to bezkarnie panoszyć się różnym oszustom i ciemnym kombinatorom, nie przeszkadzając im w spokojnym zbijaniu majątków. Nie będzie się też Witowska dopominała o należną jej zapłatę za trzy miesiące ciężkiej pracy: wie, że z zatargu z „prawokatem", mimo oczywistej słuszności, nie wyjdzie zwycięsko. Bezbronność prostego człowieka w burżuazyjnym ustroju, brak jakiejkolwiek troski o jego los, poznała zresztą autorka najlepiej w czasie t. zw. „warszawskich wakacji". Tym ironicznym mianem nazywa ona okres letni, gdy rodziny mieszczańskie wyjeżdżały na letniska, służące zaś, jako niepotrzebne w tym czasie, były odprawiane i poniewierały się bez dachu nad głową i bez środków do życia. Przedmowa A. Kamieńskiej, akcentująca wszystkie momenty społecznego demaskatorstwa Witowskiej, zwraca szczególną uwagę na przejmujący opis losu młodych dziewcząt, które ze wszystkich stron kraju zjeżdżały do Warszawy, sądząc, że w dużym mieście łatwiej znajdą zajęcie. Tymczasem czekał je tam głód, bezdomność, sypianie na schodach kościoła, ucieczka przed tępiącą „włóczęgostwo„ policją, a nierzadko nawet samobójstwo z rozpaczy, gdy brakło pięćdziesięciu groszy na opłatę noclegu w schronisku.

Wiele jeszcze cennych obserwacji społecznych czyni w „Ludziach i nieludziach" Witowska. Wierząca i praktykująca katoliczka nie zamyka oczu na wyzysk i niegodne żerowanie na nędzy ludzkiej, dokonywane pod osłoną duchownej sukienki. Pełniąc funkcje gospodyni na koloniach dziecięcych przyjrzała się autorka rządom sprawowanym tam przez zakonnice. Rządy polegały na systematycznym okradaniu dzieci z wszystkiego, czym obdarowała je ludzka filantropia. Widok wozów, wywożących do klasztoru całe paki prowiantów, których dla dzieci i służby stale brakowało, odstręcza Witowską na zawsze od pracy na koloniach. „Obrzydło mi uświęcone złodziejstwo" — oświadcza krótko. Podobnie demaskuje autorka nadużycia sióstr prowadzących szpital dla ubogich.

Na tle ponurego obrazu warstw wyzyskujących jasnym światłem błyszczą humanistyczne wartości reprezentowane przez prostą robotnicę. Pięknym epizodem książki jest opowiadanie o przyjaźni autorki z proletariacką rodziną żydowską, przyjaźni, która zawarta w dzieciństwie, przetrwała do późnych lat. „Ludzie i nieludzie" dają raz jeszcze potwierdzenie, że wszelkie momenty nienawiści rasowej, miazmaty antysemityzmu obce były najzupełniej klasie robotniczej. Witowska, która jest szykanowana za sam fakt służby w domach żydowskich (Po co ty służysz u Żydów? Wstyd... Odegnać tę Żydówę!" — wołają drobnomieszczańskie paniusie) nie waha się, mimo drwin, odwiedzać rodziny „handla" Mojsie, towarzysza zabaw dziecinnych. W ramach swych mizernych możliwości pomaga tym ludziom — nędza biedoty żydowskiej przeraża nawet ją, tak bardzo przyzwyczajoną do niedostatku.

Kończąc, wartoby uczynić pewne porównanie. Gdy czytamy tę surową opowieść o ciężkim, chwilami tragicznym losie t. zw. „pracownicy domowej" w Polsce przedwojennej, mimowoli przychodzi na myśl inna książka, połykana przez snobistyczną, mieszczańską publiczkę dwudziestolecia. — „My, które chodzimy kuchennymi schodami" opowiada ona o maskaradowym przedsięwzięciu panny z towarzystwa, która aby wygrać koleżeński zakład pracowała przez pewien czas jako służąca. Powieść sugerowała, że życie służby jest w gruncie rzeczy dość zabawne i pozbawione poważniejszych trosk; traktowała to życie z lekko ironiczną, jaśniepańską wyrozumiałością. Dopiero w epoce socjalistycznego szacunku dla człowieka można było spojrzeć, jak na niedolę prawdziwych, krzywdzonych ludzi, bez pobłażliwego uśmieszku i łaskawego klepania po ramionach, na sprawę niewolnic mieszczańskiego „ogniska rodzinnego".

Danuta Brzozowska

*) **Józefa Witowska.** Ludzie i nieludzie. (Z pamiętnika służącej). Państwowy Instytut Wydawniczy 1951 r.

JERZY WIATR

Z PRZEDWOJENNYCH DZIEJÓW MŁODZIEŻY GODZIANOWSKIEJ

(O pracy organizacji młodzieżowych na wsi)



Foto WAF

GODZIANÓW ma już za sobą długą historię organizacji młodzieżowych. Rozwijały się one od pierwszych lat okresu międzywojennego. Ta historia godzianowskich kół młodzieży jest ściśle związana ze strukturą i historią wsi.

Godzianów można określić jako wieś średniacką.

Ziemia raczej zła — żytnio kartoflana — w pewnym stopniu tłumaczy strukturę wsi. Przede wszystkim stanowiła ona zaporę — oczywiście niewystarczającą — dla rozpadu gospodarstw drogą działów. Mniejsze gospodarstwo na tej ziemi nie mogło utrzymać rodziny. Stąd pęd do miasta. Ale w warunkach kapitalizmu ten pęd był hamowany bezrobociem.

Z drugiej strony byli we wsi kułacy. Kułak godzianowski w dużej mierze miał do pokonania również warunki naturalne tj. złą ziemię. Dlatego kułactwo godzianowskie kładło i kładzie olbrzymi nacisk na monopolizację nauki. Poprzez naukę doprowadzali swe gospodarstwa do kwitnącego stanu. Pierwsi wprowadzali nawozy sztuczne i maszyny stosując w rolnictwie wiedzę zdobytą w szkołach. Oczywiście sama wiedza nie dałaby im tej przewagi nad wsią. Tę przewagę dawała im eksploatacja wsi. Realizowali ją czterema zasadniczymi sposobami: 1) przez zatrudnianie najemnej siły roboczej stałe i sezonowe, 2) przez wypożyczanie maszyn rolniczych na zyskownych dla kułaka warunkach, przeważnie za odrobek; 3) przez lichwę, żerującą głównie na przednówkowej nędzy i 4) przez system spółdzielni (spożywców, mleczarskiej, piekarskiej, betoniarskiej) związanych z gospodarstwami kułackimi i przynoszących kułakom największe zyski.

Wreszcie charakterystyczny dla Godzianowa jest brak obszarniczego majątku, a co za tym idzie brak proletariatu rolnego. Kułak był w Godzianowie panem niepodzielnym, gdyż nie przeciwstawiał mu się proletariusz.

*

W tej sytuacji powstał w Godzianowie ruch młodzieżowy. Powstał on na dwóch biegunach, które nie były biegunami klasowymi. Podział na młodzież grupującą się wokół kościoła i na niezależną młodzież wiciową nie był równoznaczny z podziałem na biedniaków i kułaków. I tam i tu grupowali się przedstawiciele różnych klas.

Młodzież godzianowską — oczywiście, nie tylko godzianowską — system kapitalistyczny chciał wtłoczyć w ramy organizacji patronackich, dających pełną gwarancję, że młodzież ta nie pójdzie walczyć przeciw istniejącemu ustrojowi. Takie organizacje tworzył kler. Jeszcze przed I wojną przy kościele powstaje chór i orkiestra. Później, już po wojnie, powstaje koło KSM-u, sodalicja mariańska, wreszcie przed II wojną Akcja Katolicka. Są to organizacje będące wyrazem wpływu kleru na młodzież. Wpływ ten był niewątpliwie bardzo duży. Jego siła wynikała ze słabości lewego skrzydła wsi, z tego, że do wsi nie docierała propaganda komunistyczna, z tego, że w Godzianowie całą lewicę reprezentowali nieliczni i obałamuceni agraryzmem wiciarze - biedniacy. Wyrazem dążenia kleru do organizacyjnego uchwycenia młodzieży jest mnogość form organizacyjnych i wciąganie do nich coraz liczniejszych grup młodego pokolenia godzianowiaków.

Ten rozwój idący w kierunku wzrostu organizacji przykościelnych nie był rozwojem harmonijnym, odbywał się w walce z tą grupą, która przeciwstawiła się dążeniom kleru. Było to często przeciwstawianie się nieświadome. Działały tu nawet takie czynniki, jak chęć rozrywki i poszerzenia wiadomości. Np. Józefa Murgrabiowa, przedwojenna wiciarka, tak tłumaczy zapisywanie się dziewcząt do koła młodzieży:

„Rozrywek żadnych nie było, a w gromadzie to zawsze było weselej. Ja chciałam się trochę zabawić i nauczyć".

Taka argumentacja, wolna od akcentu politycznego, występuje często u członków „Wici". Ale równocześnie niewątpliwa była niechęć do kleru, spowodowana tym, że ludzie odczuwali w nim sojusznika i obrońcę ustroju kapitalistycznego. Dalsze dzieje „Wici" dostarczają bogatego materiału świadczącego o dojrzewaniu wśród młodzieży godzianowskiej nastrojów antyklerykalnych. Zresztą nie zawsze musiał to być wręcz antyklerykalizm. U niejednego występowała jedynie dążność do zachowania samodzielności koła młodzieży i odrębności od plebanii.

O tę samodzielność toczyła się w latach międzywojennych walka. Stanowi ona jeden aspekt historii koła wiciowego. Drugi aspekt to opanowywanie „Wici" przez kułaków i ich oddziaływanie na młodzież biedniacką, należącą do organizacji.

Powiedziałem, że podział młodzieży na KSM-ową i „wiciową" nie pokrywał się z podziałem klasowym. Wytłumaczyć to można tym, że kler miał również silny wpływ na młodzież biedniacką i średniacką. Wpływ ten bardzo silnie oparty na tradycji klerykalnej przejawiał się we wciąganiu grup młodzieży biedniackiej i średniackiej, na równi z kułacką do KSM-u. Część młodzieży wyrywała się z sideł plebanii i tworzyła warunki na istnienie odrębnej organizacji młodzieżowej. W grupie tej znalazła się również młodzież kułacka, mająca ambicje samodzielnego kierowania życiem wsi.

W okresie poprzedzającym pierwszą wojnę światową, wieś miała już pewne doświadczenia polityczne. Doświadczenia te były dwojakiego rodzaju. Pierwsze, to „Zaranie". Do wsi dochodziły egzemplarze „Zarania". Znamy takie domy „zaraniarskie", jak Bartosików (Grzegorz Bartosik, 5 ha ziemi ojciec członka spółdzielni Szczepana), Markowiczów (8 ha ziemi), Petrynów (ojciec Aleksandra, członka spółdzielni, 2 i pół ha ziemi).

Jest rzeczą charakterystyczną, że wśród godzianowskich „zaraniarzy" nie było kułaków, nawet tych aktywnych i czynnych w latach międzywojennych. Tłumaczy się to faktem, że kułacy *jeszcze* nie zostali postawieni przed koniecznością opanowania samodzielnego ruchu pracującego chłopstwa. Ta tradycja „Zarania", słaba zresztą, stanowi rodowód ideologiczny międzywojennych ludowców godzianowskich. Z niej wywodzi się radykalizm biedniackiego skrzydła ludowców i „wiciarzy", tego skrzydła, które opanować chciała godzianowska klasa rządząca — kułacy.

Takie były te pierwsze radykalne tradycje z okresu zaborów. Ale poza stroną radykalną istniała również klerykalna, plebańska strona medalu. Ksiądz Jakobi, który w pamięci starszego pokolenia wsi zapisał się swą aktywnością zorganizował chór (1906 r.) i orkiestrę kościelną (1908 rok). W pierwszym okresie przeważała w obu młodzież kułacka, lub bogatsza młodzież średniacka. Później zaś, gdy pojawiła się w nich młodzież biedniejsza, rej w tych organizacjach nadal wodzili kułacy. Pod ich kierownictwem młodzież biedniacka i średniacka stawała się wiernymi obrońcami kapitalizmu.

*

Tak wyglądały początki. Pierwsze próby organizowania życia politycznego na wsi.

Nowy moment stanowiła wojna i usunięcie w wyniku niemieckiej ofensywy wojsk i władz carskich. Pod zaborem niemieckim zaistniały większe możliwości legalnego organizowania się. To też już w 1916 roku powstała w Godzianowie Drużyna Teatralna, zorganizowana przez nauczycielkę Krasnodębską. W Drużynie znalazła się 30-osobowa gromadka. Nie była to jeszcze pełna samodzielność, bo nad Drużyną wisiał bardzo mocno patronat Krasnodębskiej.

Postawa polityczna Krasnodębskiej została wyrażona wyraźnie o wiele później, bo dopiero w 1948 roku, w czasie dyskusji wywołanej artykułami Gałaja o Godzianowie (Wieś" 1948). Dyskusja dotyczyła roli, którą odegrali kułacy - przedsiębiorcy w życiu wsi. Krasnodębska wyraźnie opowiedziała się po stronie kułaków.

Tak więc Drużyna powstała pod patronatem szkoły, pod patronatem reakcyjnie usposobionej nauczycielki. Wpłynęło to decydująco na charakter pracy Drużyny. Przedstawienia teatralne o treści ogólnopatriotycznej wiązano tematycznie ze swoiście pojmowanym zagadnieniem roli chłopów w Polsce. Przykładem może być przedstawienie pt. „Kościuszko pod Racławicami". którego zadaniem było skierować uwagę młodzieży chłopskiej nie ku rozwiązywaniu problemu nierówności i krzywdy społecznej, lecz ku metafizycznie pojmowanej walce o „niepodległość w ogóle". Obok przedstawień teatralnych praca Drużyny polegała na zebraniach towarzyskich, owych żyjących jeszcze w pamięci wsi „wieczorkach" u Krasnodębskiej. Zaspakajały one potrzebę rozrywki i towarzyskiego wyżycia się, jak również poszerzenia zakresu wiadomości o otaczającym życiu.

*

Okres międzywojenny jest okresem, kiedy w Godzianowie zaczyna rozwijać się bardzo bujnie działalność polityczna i gospodarcza klasy kułackiej. Na terenie wsi działały dwie partie: ludowcy („Wyzwolenie") i endecy. Na czele „Wyzwolenia" stał kułak Jagielski, będący zarazem prezesem Kółka Rolniczego, organizatorem i wielokrotnym prezesem spółdzielni mleczarskiej, piekarskiej i betoniarskiej. Jego działalność gospodarcza doskonale uzupełniała się z polityczną. Głoszono walkę z ustrojem, ale walkę bardzo umiarkowaną w środkach i zasięgu, rezygnującą z ostrych wystąpień antykapitalistycznych, a nade wszystko rezygnującą z sojuszu z klasą robotniczą. Na czym więc miała polegać krytyka ustroju kapitalistycznego? Szeregowym ludowcom i „wiciarzom" przedstawiano agraryzm jako drogę przebudowy ustroju kapitalistycznego. W miejsce kapitalizmu miała powstać rzeczpospolita spółdzielcza, złożona z sieci spółdzielni ogarniających wszystkie dziedziny wytwórczości przemysłowej i handlu. Spółdzielnie te miały powstawać w ramach istniejącego ustroju drogą oddolnej inicjatywy ludności. Jedna tylko dziedzina miała nie być objęta spółdzielczością. Ta dziedzina, to rolnictwo, w którym ideałem agrarystycznym było 10-hektarowe gospodarstwo rolno - hodowlane typu czeskiego czy duńskiego. Taki program przedstawiano młodzieży jako urzeczywistnienie walki z kapitalizmem. Godzianów jest jaskrawym przykładem tego jak w rzeczywistości przedstawiały się te perspektywy „rzeczpospolitej spółdzielczej" po zrealizowaniu. Oczywiście mogę tu zająć się tym zagadnieniem tylko skrótowo, o tyle, o ile jest to konieczne dla zrozumienia perypetii ideologicznych młodzieży „wiciowej". Spółdzielnie godzianowskie organizowali kułacy i mocni średniacy. Inicjatorem tego ruchu był Jagielski. Spółdzielnie przynosiły realny zysk i pomoc gospodarstwom kułackim. Spółdzielnia mleczarska dla kułaków oznaczała ułatwienie zbytu produktów hodowlanych. Dla biedoty nie miała ona tego charakteru. Owszem, biedota również odstawiała do spółdzielni pewne ilości mleka. Nie miało to jednak charakteru intensyfikacji produkcji, lecz było odejmowaniem sobie od ust części dotychczas spożywanego stale pożywienia. „Mleczarnia przyniosła gruźlicę na wieś" — mówi jeden ze starszych biedniaków. Zupełnie wyraźnie widać tę służebną rolę spółdzielni betoniarskiej wobec gospodarstw kułackich. Przecież to właśnie bogatym gospodarzom ułatwiała spółdzielnia inwestycje. Dla biedoty i dużej części średniactwa sprawa tych inwestycji była zupełnie nie do zrealizowania. Wreszcie nawet takie spółdzielnie jak piekarska czy spożywców wychodziły w ostateczności na korzyść dla kułaków, gdyż zwalniały w biedniackich gospodarstwach ręce do pracy na ziemi kułackiej. Czy przez to poprawiała się sytuacja biedoty? Częściowo tak. Odciążenie od pracy domowej polepszało sytuację w tych gospodarstwach, ale równocześnie zwiększona podaż rąk roboczych pogarszała warunki pracy najemnej w gospodarstwach kułackich. Kułacy wynosili wreszcie dużą korzyść z samego faktu sprawowania władzy w spółdzielniach. Dawało im to mocną pozycję we wsi i uzależniało od nich biedotę. Było to uzależnienie bardzo silne i wyraźne, co jest zupełnie zrozumiałe jeżeli się weźmie pod uwagę, że biedota marzyła zawsze o uzyskaniu pracy w spółdzielni, a przydział pracy zależał od kułaka prezesa.

Reasumując można powiedzieć, że działalność grupy „przedsiębiorców" kułackich na terenie politycznym, działalność polegająca na kierowaniu aktywności chłopów na drogę wytyczoną przez agraryzm, szła po linii klasowych interesów kułactwa. Po tej samej linii szło wykorzystanie wygodnego dla kułaków hasła niezależności od czynników pozawiejskich. Niezależność tę rozumiano jako niewiązanie się z plebanią i starostwem, ale równocześnie główny nacisk kładziono na oderwanie się od sojuszu z klasą robotniczą. W ten sposób miał wytworzyć się „niezależny" ruch ludowy, w którym pozycję panującą zdobyli kułacy. Kierujący „Wyzwoleniem" godzianowskim kułacy postanowili podporządkować sobie młodzież zgrupowaną w powstałym z Drużyny Teatralnej kole „Siewu". To podporządkowywanie sobie młodzieży wypełniło historię międzywojennych „Wici" i wykroczyło daleko poza rok 1939.

Inną nieco pozycję zajęła druga grupa kułaków, ta która zorganizowała się w kole endeckim. Endecy: Białkowski, Petrynowski, Murgrabia Franciszek postawili na ścisłą współpracę z kościołem. Ich poważanie we wsi w ogromnej mierze opierało się właśnie na spełnianiu roli „podpór kościoła". Nie mieli oni oczywiście własnych ambicji, jeżeli idzie o zorganizowanie młodzieży. Zadawalali się tym, że młodzież grupowała się wokół kościoła. Gdy zaś sam kościół nie był w stanie przełamać oporu młodzieży przeciw zakładaniu Akcji Katolickiej (1937 r.), endecy wystąpili aktywnie i poprzez swoje dzieci dopomogli zorganizować młodzież w Akcji. Taką rolę odegrali w tym czasie syn i córka Edwarda Białkowskiego.

Na tle konkurencji o ludzi dochodziło do pewnej rywalizacji między ludowcami i endekami. Również dyskusje ideologiczne przyczyniły się do uświadomienia sobie pewnej odrębności ideologicznej obu stronnictw. Ale w żadnym wypadku nie była to walka. Jeden z bliskich przyjaciół politycznych Jagielskiego (zarazem jego powinowaty) ludowiec Józef Kroc tak mówi o tych dyskusjach międzypartyjnych:

„Myśmy w takiej szóstce, jakby rodzinnej dyskutowali o polityce. Ich było trzech i nas trzech. Ale jakichś niechęci to między nami nie było".

Natomiast ze zdecydowanym sprzeciwem obu grup spotkała się próba założenia komórki OZON-u we wsi (około 1935 r.). Próba ta nie powiodła się. Sanacja nie była w Godzianowie popularna. Ostatnie wybory przed wojną zbojkotowano.

*

Dla charakterystyki pracy koła „wiciowego" w okresie międzywojennym niezwykle cennym materiałem są protokóły z zebrań. Obejmują one lata 1931—1936.

W tym okresie koło „wiciowe" było już organizacją o dość wyraźnie wykrystalizowanym miejscu we wsi. Zakończyła się zwycięsko walka o uniezależnienie się od sanacji i od kleru. Równocześnie zdecydowanie ugruntowało się panowanie kułactwa w „Wiciach".

Na czym polegało panowanie kułactwa wśród młodzieży?

Przed omówieniem tego zagadnienia warto zaznajomić się ze składem zarządów „wiciowych" w tym okresie.

W roku 1931 kołem kierowali Józef Mozga (bezrolny) i Jan Murgrabia (4 i pół ha). Najpierw przewodniczącym był Mozga, sekretarzem Murgrabia. Po zmianie w ciągu roku Murgrabia przewodniczącym, Mozga sekretarzem. Obaj ci działacze nie należeli do klasy bogaczy. Natomiast należeli oni do aktywu wiejskiego, do czynnych działaczy spółdzielczych, pracujących pod kierownictwem Franciszka Jagielskiego.

Przy wyborach 1932 r. kierownictwo koła dostało się jako prezesowi Janowi Jagielle (9 i pół ha). Jest to bardzo ściśle związany z Jagielskim działacz młodzieżowy i spółdzielczy, który aż do chwili obecnej pozostał wierny swemu ówczesnemu, pro-kułackiemu stanowisku. Obok niego sekretarzem pozostał nadal Józef Mozga.

Niewątpliwie już z tego zestawienia wynika, że ilość młodzieży kułackiej i bogato - średniackiej w kierownictwie koła była specjalnie duża. Ale równocześnie działalność Józefa Mozgi, Kowary, czy Murgrabiego świadczy o tym, że nie były to zarządy pozbawione biedniaków i drobnych średniaków.

I tu wyłania się drugie zagadnienie. Jak, jakimi metodami kułactwo zabezpieczało się przed wystąpieniami młodzieży biedniackiej.

Jedna metoda — to ograniczenie niezależności „niezależnego" koła wiciowego. Koło to podporządkowuje się dwóm ludziom reprezentującym — każdy na swój sposób — interesy klasy kułaków.

Pierwszym z nich jest przywódca kułacki Franciszek Jagielski. On sam bezpośrednio kołem „Wici" się nie zajmuje. To koło „wiciowe" wychowuje i jest wychowywane w atmosferze wskazywania na Jagielskiego jako na wzorowego gospodarza. Właśnie do Jagielskiego urządzano wycieczki wiciowe w celu praktycznego zapoznania się z ideałem agrarystycznego gospodarstwa. Jagielski był proszony specjalnymi uchwałami na wszystkie ważniejsze uroczystości urządzane przez koło „Wici". Niekiedy przybywał na zebrania i udzielał rad.

Drugą osobą wywierającą bardzo silny wpływ na „Wici" był Wojciech Gruziel. Był to nauczyciel szkoły powszechnej w Godzianowie w okresie przedwojennym i w czasie wojny. Politycznie już przed wojną związany był z ruchem ludowym, a wewnątrz tego ruchu z jego kułackim skrzydłem. Po wojnie wystąpił jako czynny i aktywny zwolennik Mikołajczyka. O jego postawie politycznej świadczą zarzuty, stawiane mu przez chłopów, że faworyzował dzieci „ludowców" kosztem innych.

Gruziel roztoczył opiekę nad kołem „wiciowym". Prawie stale był na zebraniach. Zabierał głos we wszystkich poważniejszych kwestiach. Przedstawiał projekty planów pracy. W ciągu kilku lat był członkiem Komisji Rewizyjnej.

Ale błędem byłoby przypuszczać, że tylko poprzez tych dwóch ludzi, oraz przez kułacką młodzież w „Wiciach" panowano nad młodzieżą biedniacką. Kułactwo miało jeszcze broń ukutą wprawdzie poza Godzianowem, ale służącą także do rozgrywki w „Wiciach" godzianowskich. Tą bronią była agrarystyczna ideologia „Wici", ideologia solidaryzmu społecznego. W 1934 r. koło „Wici" urządza „Dni Agraryzmu Słowian". W duchu agrarystycznym obchodzone jest „Święto Wiosny". Ogromny nacisk położony został na propagandę kułackiej spółdzielczości. Urządza się wycieczki do spółdzielni mleczarskiej, obchody „Dni Spółdzielczości", pogadanki propagujące spółdzielczość jako drogę przebudowy wsi. Na zebraniach koła wygłaszane są agrarystyczne pogadanki na temat gospodarczej przebudowy wsi.

Wreszcie potężnym środkiem agrarystycznego oddziaływania na młodzież są Uniwersytety Ludowe. Na U. L. w Gaci koło wysłało trzy osoby: Jana Jagiełłę, Józefa Mozgę i jego żonę.

Nie jest przypadkiem fakt, że właśnie przodującego aktywistę wiciowego, należącego do biedoty skierowano do Gaci. Był on najgroźniejszy dla kułactwa i najbardziej zależało na tym, by go wychować w duchu solidaryzmu społecznego.

W taki więc sposób zapewniła sobie grupa kułaków - ludowców panowanie nad wiciarzami. O to panowanie trwała jednak walka. Walka ta toczyła się na dwa fronty. Jednym wrogiem była endecja i plebania, usiłujące odebrać ludowcom młodzież. Księża ostro atakowali wiciarzy, a nawet odmawiali ich rodzicom rozgrzeszenia (ks. Studziński w 1938, odmówił rozgrzeszenia matce Zbudniewka). W tradycji starych wiciarzy pamiętna jest długotrwała walka o sztndar młodzieżowy, ufundowany przez „Siew". Sztandar ten tradycyjnie nosili na procesjach wiciarze. W ostatnich latach przed wojną młodzież KSM-owa rozpoczęła walkę o odebranie wiciarzom sztandaru. Walkę, w której ksiądz wyraźnie zaangażował się przeciw wiciarzom zakończyło dopiero zaginięcie sztandaru. Niewątpliwie ta wroga postawa plebanii wpływała osłabiająco na oddziaływanie „Wici" na resztę młodzieży. Dokonywała się pewnego rodzaju izolacja wiciarzy we wsi. Proces ten zapoczątkowany w latach tworzenia Akcji Katolickiej (1937 — 1939) miał niewątpliwie widoki powodzenia. Przerwany został wybuchem wojny i zupełną zmianą układu stosunków politycznych we wsi.

Poza tym wrogiem mieli kułacy wroga drugiego, bez porównania groźniejszego. Wrogiem tym była grupka biedniackiej i średniackiej młodzieży wyróżniającej się większą świadomością polityczną i przywiązaniem do niezależności. W dużej mierze dzięki tej grupie możliwym się stało, że w 1928 r. gdy dokonało się oderwanie „Wici" od Kółek Rolniczych, koło godzianowskie bez wahań stanęło na platformie warszawskiego zjazdu wiciowego.

Ta lewa grupka, do której należeli Józef Mozga, Franciszek Meszka i inni pracowała w niezwykle trudnej sytuacji. Godzianów odcięty był od jakichkolwiek wpływów lewicowych z zewnątrz. W powiecie nie istniał powiatowy zarząd „Wici". Jedyne 4 koła wiciowe w powiecie (Godzianów, Lipce Reymontowskie, Wola Drzewiecka i Słomków) połączone były w tak zwanym związku sąsiedzkim. Ten związek sąsiedzki był jedynym przewodnikiem wpływów ideologicznych i organizacyjnych z innych ośrodków „Wici". Niewątpliwie bardzo pobudzająco na Godzianów działał bliski kontakt z młodzieżą z Lipiec i Woli Drzewieckiej. Są to biedniackie wsie, mające o wiele bardziej radykalne tradycje wiciowe niż Godzianów. Organizacja wiciowa w tych wsiach miała kontakt z „Wiciami" łowickimi. W powiecie łowickim „Wici" zajmowały wyraźnie radykalną postawę, na co decydująco wpływał fakt, że w powiecie istniała grupa wiciarzy, należących do Komunistycznej Partii Polski. Ta sytuacja w pobliskich ośrodkach wiciowych była pomocą dla wiciarzy godzianowskich — niestety pomocą słabą i bardzo niewystarczającą.

Do Godzianowa nie docierała prasa komunistyczna. Nie docierały żadne postępowe pisma polityczne, poza „Wyzwoleniem" i „Wolnomyślicielem". Przed wojną do biedniackiego czynu chłopskiego w Godzianowie nie doszło. Ale wbrew przeszkodom stawianym przez potężny obóz kułacki zaczynały rodzić się pierwsze rewolucyjne myśli, zaczynały się dyskusje wychodzące poza wąskie agrarystyczne podwórko.

Objawy tego wrzenia wśród wiciarskiej młodzieży ukazały się w czasie strajku chłopskiego w 1937 r. Ludowcy — zgodnie ze stanowiskiem Stronnictwa—wzięli udział w strajku. Ale kułaccy działacze — przede wszystkim Jagielski — stępili w Godzianowie (podobnie było i gdzieindziej) ostrze strajku. Postawiono zasadę niesprzeciwiania się łamistrajkom. Jedynie wiciarze godzianowscy — za przykładem dużo bardziej radykalnie występujących wiciarzy lipieckich — podjęli patrolowanie dróg, rozpoczęli szeroką agitację i w ten sposób opierali się próbom łamania strajku. c. d. n.

Jerzy Wiatr

MICHAŁ ISAKOWSKI

S P Ó D N I C A

(Opowiadanie kołchoźnicy Marusi, zanotowane prawie stenograficznie)

Jak tam z robotą? To jasne, że robię,
Mnie, komsomołkę, pytasz?
Widzicie, spódnicę mam nową na sobie —
Jak z igły, dopiero uszyta.

Dotknie, popatrzy — dziwuje się człowiek —
Odświętna, piękna i trwała.
Takiej spódnicy, prawdę wam powiem,
Od urodzenia nie miałam.

Że głupstwa gadam — proszę nie myślcie —
Nie chwalę się, weźcie na rozum:
Przecież mi wydał ją osobiście
Przewodniczący kołchozu.

Wieczorem, pamiętam, zeszła się gromada
W komplecie całe gniazdko.
— A no, podejdź tu bliżej — powiada —
Nasza kołchozowa entuzjastko!

Fala gorąca mnie nagle oblała,
Lecz zbliżam się z ostrożnością...
— Zawsze — powiada — Marusia umiała
Podejść do pracy z miłością.

Chłopców i dziewcząt wyprzedza. Rękami
Nie wymachuje zgoła.
I my — powiada — przed nią schylamy
Chwałą okryte czoła.

Za sukces w pracy jej dać upominek
Dla nas — powiada — nie strata.
Niech będzie najelegantszą dziewczyną,
I niech każdy chłop za nią lata!

A potem ojczyznę opisał nam całą
Czasy stare i nowe.
I tak jakoś wyszło, że mnie wypadało
Odpowiedź dać w kilku słowach.

A jakąż odpowiedź
Wymyślić tu właśnie —
Gdy prosta dziewczyna
Ma lat siedemnaście?

Więc stoję przed nimi i coś w gardle szarpie,
Jak gdybym język straciła.
I nie od razu znalazłam się. Najpierw
Swą wdzięczność im wyraziłem.

A potem nabrałam śmiałości, by rzec tak:
(I poszło mi lepiej i składniej)
— No cóż, towarzysze, chce władza radziecka,
By każdy ubierał się ładnie.

Więc trzeba rzetelnie do pracy się włączyć.
Kołchozów strzec, leniów nie głaskać...
A jednak nie dali mi mowy dokończyć
I głośno zaczęli klaskać.

A potem — zabawa; tańczyliśmy z hukiem,
W gromadzie śpiewaliśmy bratniej:
Fotograf zdejmował mnie wprost i na ukos —
I wszystko zupełnie bezpłatnie.

Powiedział, że przyśle mi portret-poemat,
Bo zuch z ciebie, mówił, dziewczyno.
Czas mija, a zdjęcia jak nie ma, tak nie ma —
Na pewno list w drodze zaginął.

(1934). Tłumaczył **WŁODZIMIERZ BORUŃSKI**

A. J. MARKIEWICZ

BEZ OJCZYZNY*)

15 kwietnia 1918 roku zastrajkowała kopalnia „Ewald". Na ulice wysypał się tłum robotników. Wznoszono okrzyki przeciw wojnie i cesarzowi, wygrażano baronom węglowym. Dopiero silny oddział konnej żandarmerii rozproszył demonstrantów. Były aresztowania... Ale na słupach pojawiały się coraz częściej plakaty nawołujące do zaprzestania bezsensownej wojny, czyjeś nieznane ręce kreśliły smołą i farbą na trotuarach i murach domów państwowych napisy w rodzaju: „Gleiche Löhne, gleiches Essen, wär der Krieg schon längst vergessen", co w tłumaczeniu na polski oznaczało: „Równa płaca, równe jedzenie, wojna poszłaby dawno w zapomnienie".

Nadeszła jesień 1918 roku. W listopadzie wrócił ojciec. Wojna była skończona.

⁂

„Dzielność, karność, tęgie ramię
Każdy Sokół musi mieć,
Zaś wytrwałość jego znamię
I świadomość, czego chcieć.
Gdy Ojczyzna, kraj zawoła
Do pomocy wezmą cię
Staniesz tłumnie brać Sokoła,
Sokół w Orła zmieni się".

Tylekroć śpiewane przez nas słowa piosenki miały się sprawdzić. W polskim Związku Zawodowym Górników „Zjednoczenie" dyskutowano teraz wyłącznie na temat mającej nastąpić optacji. Czytano głośno gazety donoszące o obradach w Wersalu organizowano komitety...

W „Sokole" pracowano jeszcze intensywniej. Powrót do kraju ojczystego, do kraju dla wielu dalekiego i nieznanego zarazem, urastał wprost do jakiegoś legendarnego pojęcia.

To ożywienie wśród polskiej emigracji robotniczej nie w smak było niektórym hakatystycznym pismakom, wysługującym się kapitalistom węglowym, którzy bali się utraty dobrej i taniej siły roboczej. Robotnicy niemieccy, górnicy kopalniani, wypróbowani koledzy wielu wspólnie organizowanych strajków rozumieli nasze nastroje. Pewnie, byli i tacy, którzy bezmyślnie powtarzali kalumnie rzucane przez niektóre gazety niemieckie. To członkowie żółtych związków zawodowych finansowanych przez właścicieli kopalń. Ale ci się nie liczyli.

9 stycznia 1922 roku złożyłem razem z ojcem oświadczenie optacyjne na rzecz Państwa Polskiego. Dzień wyjazdu do kraju wydawał się być bliski. W domu czyniono przygotowania do powrotu. Aż oto pewnego dnia otrzymaliśmy list z Polski. Pisała siostra matki. Cieszyła się na nasze przybycie, jednocześnie donosiła, że „w kraju teraz trudno o pracę... dużo chodzi bez roboty... nic się nie buduje".

Matka przestała czytać i spojrzała na ojca. On, jak zwykle w takich wypadkach, gdy szło o jego zdanie długo milczał, wyjął fajkę, nabijał powoli i zanim zapalił — zawyrokował:

— Wiesz matka myślę, że najlepiej będzie jak ty wpierw pojedziesz do Polski i sama się rozejrzysz, co tam się dzieje... Zawszeć co ty, to nie twoja siostra.

— Ja sama, bez ciebie?

— Drobiazg zabierzesz ze sobą — wskazał fajką na Werę, Jana i Teresę.

— A jak wy sobie tutaj...

— Ino się o nic nie martw. Już my sobie z Teosiem damy radę... Zresztą długo tu nie zostaniemy... Skoro nam jeno odpiszesz, że tam w Polsce naszej na kromkę chleba zarobimy, tak my zaraz „manaszki pod paszki" i raz dwa, będziemy u ciebie...

Dwa miesiące minęły od wyjazdu matki, a wiadomości żadnej nie było. Pracowałem teraz razem z ojcem jako rębacz. Codziennie wychodziliśmy rano do pracy i wracaliśmy wieczorem do domu. Jeszcze przed rokiem pracowałem przy koniach, które z pochylni wyciągały wózki z węglem. Pokochałem te mądre i zarazem biedne zwierzęta. I one mnie polubiły. Ich przyjaźń łatwiej zdobyłem, niż przyjaźń niejednego człowieka.

W marcu nadszedł list. Z daleka świeciła różowa koperta wciśnięta w szparę drzwi... Weszliśmy do mieszkania. Ojciec, nie zdejmując czapki, podszedł do stołu i zapalił naftową lampę. Widziałem, jak drżała mu ręka, gdy rozcinał kuchennym nożem kopertę. Założył na nos okulary, rozwinął biały arkusz papieru i nagle mi go podał:

— Weź, przeczytaj.

„Niech będzie pochwalony!

Drogi Janku i mój kochany Teosiu!

Zapewne czekacie już z niecierpliwością na mój list. Ale widzicie nie układało się jakoś prędzej napisać. Wera trochę chorowała i w ogóle dzieciaki jakoś nie czuły się dobrze po tej podróży. Jechali my dwadzieścia jeden godzin. W Berlinie przegapiłam pociąg i tak musieli my czekać trzy godziny na drugi... Teraz to już Bogu dzięki wszystko znowu dobrze. Wszyscy jesteśmy przy zdrowiu, czego i wam z całego serca życzymy... Tu się bardzo ucieszyli, gdyśmy przyjechali i każą was pięknie pozdrawiać...".

— A o pracy nic nie ma?

— Zaraz, ojcze.... „Oglądałam się za robotą. Byłam w Paulinach i Dąbrowie. Wszędzie to samo. Kto ma robotę, ten jej się trzyma mocno pazurami, bo jest dużo bezrobotnych. Gadają, że z wiosną pewnie robota ruszy, ale kto tam wie... Tu, w Polsce chodzi teraz wiele takich, co nic nie robią, jeno komenderują. Grosza mają dużo, na wszystko mogą sobie pozwolić... Może jeszcze trochę zaczekacie z przyjazdem. Jak co będzie, to wam zaraz napiszę...".

29 kwietnia 1922 roku po raz ostatni opuściłem z ojcem szyb kopalni „Ewald" w Herten. Emigracja westwalska była skończona — Zaczynał się nowy etap tułaczki za chlebem. Nazwa jego brzmiała: Francja...

⁂

Dnia 15 kwietnia 1928 roku przyniosły poranne gazety wzmiankę o katastrofie w kopalni „Marles Mines". Czytelnicy prawicowych pism jak „Le Jour", „Le Journal" zapewne niewiele mogli się dowiedzieć o rozmiarach katastrofy. Jedynie „L'Humanite", „Le Soir" i inne postępowe dzienniki informowały obszernie o rozmiarach katastrofy, nie szczędząc słów surowej krytyki.

Jednym z piętnastu rannych o których pisała gazeta byłem ja. Miałem zgniecione plecy i złamane lewe ramię. Moje leczenie trwało bardzo długo.

Z początku interesowano się żywo rannymi, oraz rodzinami po zabitych górnikach. Przyjażdżały nawet specjalne komisje z Paryża. Przez kilka dni uwijały się w wąskich uliczkach Auchel błyszczące, zwinne limuzyny... Po tygodniu zainteresowanie znacznie opadło, a po dwóch ustało niemal zupełnie. „Le Soir" nie doczekał się żadnych wyjaśnień. Gadano wprawdzie w Auchel, że dyrektor Blanc zostanie oddany pod sąd, potem mówiono już tylko o jakimś przeniesieniu karnym do innego osiedla górniczego, aż wreszcie przestano o nim całkiem mówić. Komisja lekarska przed którą się stawiłem orzekła, że jestem niezdolny do pracy w górnictwie co najmniej na okres dwóch lat. Oznaczało to w praktyce skazanie mojej osoby na życie głodomora.

Z ciężkiej sytuacji wyratował mnie znowu Morice Boullon. Dowiedział się, że zakłady samochodowe „Renault" w Boulogne-Billancourt zatrudnią natychmiast kilku robotników.

— Znasz dobrze francuski, sprytny jesteś. Dasz sobie radę — orzekł Morice. Pojechałem do Billancourt i zostałem przyjęty.

Moje przyjęcie zawdzięczam przypadkowej protekcji majstra, nazwiskiem Charles le Longes, który darzył szczególną sympatią Polaków.

Za jego przyczyną również dostałem się do Szkoły Metalowców w Paryżu, po której ukończeniu pracowałem w Zakładach Samochodowych „Renault" w charakterze kontrolera technicznego.

1 października 1934 roku zostałem bezwarunkowo zwolniony za moją przynależność do Komunistycznej Partii Francji, do której Polakom nie wolno należeć.

Postanowiłem wyjechać do Polski...

⁂

Nie opiszę tych wzruszeń, które mi towarzyszyły w drodze do kraju bliskiego, drogiego i nieznanego zarazem. Oto za kilka godzin ujrzę ojczyznę mego ojca, którą opuścił przed 35 laty, jadąc do dalekiej Westfalii za kromką czarnego chleba... Wnet oto przywitam matkę i rodzeństwo, z którymi się nie widziałem od roku 1922.

Dojeżdżamy właśnie do granicy polsko - niemieckiej... Urzędnik bada moją walizkę...

Po chwili pociąg znowu rusza. Ten biały domek, który wolno odpływa za oknem wagonu. to domek polskiego strażnika. Więc to już Polska.

Jakaś pani z przedziału poznaje po akcencie, że przyjeżdżam z zagranicy:

— Pan z Niemiec?

— Nie, z Francji.

— Pewnie w odwiedziny.

— Nie, przyjeżdżam na stałe.

— Pan chyba żartuje, — albo przywozi pan ze sobą dużo pieniędzy.

— Nie dorobiłem się.

— Jak to? Przecież Francja to taki bogaty kraj. Moja ciotka...

— Znam też bogatych ludzi we Francji. Większość, to tacy jak ja.

Pani jest obrażona. Wyjmuje książkę i odwraca się do mnie plecami. Z za okna wyłaniają się ośnieżone pola i drzewa. Chałupy przykucnęły w śniegu i bawią się w szukanego.

Jeszcze trzy stacje, jeszcze dwie... Pociąg zwalnia... Most nad rzeką dudni głucho. Ta rzeka nazywa się Brda.

W domu nic nie wiedzą o moim przyjeździe. Pukam do drzwi. Cisza. Po chwili dopiero słyszę kroki i zgrzyt klucza w zamku. Wielkie zdziwienie. Ale to trwa krótko.

— Teoś!

— Mamo!

W walizce znajdują się jakieś tanie prezenty dla każdego. Potem długo w noc trzeba opowiadać wszystko: o pracy, kolegach, wypadkach. Najwięcej żalu wywołuje pamięć ojca i jego śmierć. Wreszcie pada pytanie: „Co będziesz tu robił?".

Czy ja wiem? Może się poszczęści. Wpierw trzeba się rozejrzeć, poznać warunki, ludzi...

Po roku wiem już dokładnie, że były tylko złudzenia. Od utworzonego przeze mnie Związku Reemigrantów, aż do interwencji u prezydenta miasta, zakończonej pałkami policjantów. Rzeczywistość, to: praca raz na tydzień, porcja zupy na Rybim Rynku, złotówka zarobiona przygodnie za zamiatanie śniegu, lub za wytrzepanie dywanu z narąbaniem drzewa na opał dla „wielmożnej pani". Rzeczywistość, to: sznurowadła i muchołapki sprzedawane na Starym Rynku przed kościołem Jezuitów, lub daremne wyczekiwanie barek z towarami pod spichlerzem, pamiętającym czasy króla Chłopów...

Zagraniczni kapitaliści znają lepiej gospodarcze możliwości Polski, niż łudzący się ciągle polscy robotnicy. W roku 1937 przyjeżdża ekipa agentów belgijskich celem zwerbowania Polaków do prac w kopalniach. Gniezno jest głównym rynkiem skupu.

Na olbrzymim placu gromadzi się tłum bezrobotnych... Na dach samochodu wychodzi jakiś mężczyzna i woła przez tubę:

— Uwaga... Uwaga... Kto zna francuski i pracował już w kopalni, na prawo! Reszta na lewo!

Po południu zostaje podpisana umowa. Artykuł drugi tej umowy brzmi:

„Robotnik przyjmuje do wiadomości, że jest zaangażowany do Belgii wyłącznie do pracy pod ziemią i zobowiązuje się pracować w czasie, na który zawiera umowę w kopalni...".

A. J. Markiewicz

*) Fragment wspomnień robotniczych nadesłanych na konkurs Polskiego Radia i PIU-u.



Rys. St. Gierowski

STANISŁAW PIĘTAK

LEKCJA

Było już prawie ciemno, a Franek Pagacz jeszcze uczył się lekcji, siedząc z podwiniętymi nogami pod rozłożystym orzechem w sadzie. Świat cyfr, dat i zagadnień tak bez reszty go pochłonął, że oderwał się od kart książki dopiero wtedy, gdy zgłoski zaczęły mu się zlewać w plamy przed oczyma.

Oszołomiony z głową rozpaloną od długotrwałego uczenia się, podniósł się z murawy i stwierdził, że już dawno jest po zachodzie słońca. Po oborach słychać było stłumiony ryk bydła, od wsi dolatywały odgłosy samotnie przez kogoś śpiewanej piosenki, wozy turkocąc jechały do miasta, słychać było rozmowę i śmiech ludzi.

— Noc już, patrzcie — westchnął i wziąwszy książki i zeszyty pod pachę skierował się do domu. W pokoju już się świeciło, lecz tam nie udał się, wstąpił do kuchni.

— Cóż ty sobie myślisz, kolację mam specjalnie dla ciebie gotować— szepnęła matka. Miała zmęczone, podbite oczy. Chorowała od roku na nogi, nie mogła chodzić.

— Daj garnuszek mleka, wystarczy — powiedział i rozłożywszy znów książki spróbował z powrotem czytać.

Podniesiony głos ojca zaintrygował go jednak, wstał i zbliżył się do oszklonych drzwi, które prowadziły do pokoju.

W mieszkaniu byli niecodzienni goście. Za stołem siedział ogorzały Chochowski Marcin, przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej gdzieś na zachodzie, przyjechał na pogrzeb matki swojej i przebywał od kilku dni we wsi — obok niego zaś przykucał na krześle przesadnie uśmiechnięty Piotr Jarząbek, przedwojenny wójt, jeden z bogatszych miejscowych chłopów. Ojciec stał naprzeciw nich pod piecem i pięść zaciśniętą trzymał przed piersią.

— Ale dlaczego ty się tak sprzeciwiasz? Do djabła, ty masz zaledwie pięć mórg ziemi — tłumaczył poważnie i spokojnie Chochowski.

— Nie mówiłbym, gdyby tak się stawiał sztorcem Pietrek. Jemu może być żal jego dziesięciu hektarów.

— Siedem, Marcinku, mam teraz, siedem. Trzy dałem przecież Zości, gdy szła za Piskora — chichotał Jarząbek. Małe jego oczka biegały tu i tam spłoszone. — Ja jednak nie jestem kontra, ja przystąpię, jak zajdzie potrzeba.

— Zrozum, człowieku, przy dzisiejszych możliwościach technicznych takie rozdrobnienie gospodarki jest niemożliwe — mówił dalej Chochowski i powoli podnosił szklankę piwa do ust. — Spółdzielczość zwycięży, bo takie jest prawo życia.

— Ja właśnie zawsze to samo mu gadam — wtrącił się Jarząbek. — Razem też będzie nam dobrze, a jakże. Zależy tylko, kto będzie wtedy wsią rządził. Psiakrew, brakuje nam tu ciebie, Marcinku.

— A ja nie oddam pola — rąbnął się w odkrytą pierś wysoki Pagacz, twarz mu pobladła. — Spalę, zniszczę, pójdę na kraj świata, a nie dam...

— Jasiu, zwariowałeś, więc ma być ta cholerna bida, w jakiej żyliśmy przez tyle lat...

— Niech zgniję na gnoju, niech padnę. Wiem przecież, że to moje, że ja rękami, całym sobą... nie dokończył zdania, zachłysnął się gniewem i boleścią i usiadł na krześle.

— Powoli przejrzysz.

— Jeszcze jak — chichotał wciąż Jarząbek.

— Nie.

— Nie!...

Franek słyszał ten wzburzony głos ojca i cierpiał. Całym sercem od wielu dni pragnął, by ojciec już tak nie buntował się, nie bolał, lecz przyjął spokojnie zmiany, które przecież są potrzebne dla dobra ogółu, dla dobra kraju.

Nie mógł patrzeć na drżące barki ojca, cofnął się, wrócił do stołu, na którym matka już postawiła garnuszek mleka i położyła kilka kromek chleba posmarowanych masłem.

— Kłócą się o politykę — szepnęła.

— Właśnie.

— I po co to?

— Widocznie o coś im idzie.

— Jabym się ta nie stawiała. A co, tak czy tak, do grobu trzeba pójść.

— Ojciec jest za bardzo przywiązany do tego wszystkiego — powiedział Franek. Nie umiał znaleźć odpowiednich słów dla wyrażenia myśli i zamilkł ukazując ręką dom i ogród.

Głosy za drzwiami przycichły naraz. Przez okno otwarte słychać było obecnie dźwięk skrzypiec. To grał nauczyciel stary kawaler, mieszkający po sąsiedzku. Świerszcze monotonnie ćwierkały na ścierniskach.

— Ojciec poszedł na przystanek. Chochowski już jedzie dzisiaj. No ten, słyszałeś, idzie w górę, robi karierę.

— Widocznie wart tego.

— Głupi chłop to on nie jest — w samej rzeczy.

Przerwali rozmowę. Matka poszła do pokoju i poczęła słać łóżka. Franek rozłożył z powrotem zeszyty i książki i rychło ugrzązł w nich wszystkimi myślami.

Upłynęła tak może godzina. Matka już zasnęła, w domu uczyniło się ogromnie cicho. Kot, który czatował długo pod ławką, schwycił mysz i zahałasował przez moment na podłodze. Naraz w cichości wieczoru dały się słyszeć kroki na ulicy. Ktoś szedł i rozmawiał.

— Powiedz sam, był tu w czasie okupacji, nie trzeba to go było kropnąć — powiedział pierwszy głos. Franek rozeznał w mówiącym Jarząbka i uczuł jak z nagłego wrażenia ściska mu się serce w piersi.

— Co ty, oszalałeś, jak jest, tak jest, to przecie nasz chłop.

Ten szept był szeptem ojca.

Franek doznał w tej chwili uczucia ogromnej radości, stwierdziwszy, że ojciec przeciwstawił się Jarząbkowi. Powstał, zbliżył się do otwartego okna i chłodził czoło w podmuchach wiatru. Myśli jego były wzburzone i przepełnione odrazą.

— Łasił się do Chochowskiego, kłamał — szepnął przypominając sobie twarz Jarząbka. — Wróg, wróg. Zapamiętam te jego słowa, przyjdzie czas, przypomnę je przed ludźmi.

Stanisław Piętak

BRONISŁAW SZMIDT

DZIECIŃSTWO*)

Do naszego domu zaczęli przychodzić towarzysze ojca, zwłaszcza zimą, bo wtenczas nie było roboty. Siadywali przy piecu w kuchni, na skrzynce od węgla, na ławce i gadali. Nie bardzo wtenczas rozumiałem to ich gadanie, zresztą wypędzono mnie spać. Ale słuchałem z zainteresowaniem i przejęciem. Jan Andrzej Buda zaczął opowiadać o kopalni we Francji, w których pracował dwadzieścia lat, wtedy wciskałem się w najciemniejszy kąt, licząc, że zapomną o mnie i pozwolą jeszcze siedzieć i słuchać. W domu było ciemno, bo nafta się skończyła, a na nową kwaterkę groszaków nie starczyło. Tylko przez kręgi żelaznego pieca płonące drewna rzucały na ścianę migotliwe, drżące światło. Pamiętam, że podczas jednego takiego wieczoru zasnąłem i spadłem z ławki prosto na gorący piec...

Pewnego dnia, gdy ojciec z Budą i Cielochem czytali gazetę, przyszła do nas babka. Ponieważ nie lubili się z ojcem i nigdy z sobą nie rozmawiali (babka nie mogła mu do końca życia wybaczyć niewiary w siłę nowenn), babka rozmawiała z matką. Obydwie były zajęte leżącą w kołysce siostrzyczką, która nam nie dawno przybyła. Ale babka drugim uchem pilnie słuchała, co też rozmawiają z sobą ojciec i towarzysze. Ci tymczasem prowadzili dyskusję wywołaną, zdaje się, artykułem w gazecie.

Chodziło o proboszcza z naszego miasteczka. Z rozmów starszych zasłyszałem, że „chla po knajpach, jak „pierwszy lepszy pijak". Buda westchnął: — Kiedy wreszcie ci ludzie zmądrzeją i nie pozwolą się ogłupiać z tej ambony... Ja bym... — nie dokończył, bo do dyskusji wmieszała się babka. Zaskoczyło to wszystkich. — Wstyd, tak bluźnić — zawołała fanatycznym głosem. — I w domu mojej córki... Matka milczała zmieszana. Ojciec popatrzył ponuro na babkę: — Co was to obchodzi! To jest mój dom i mogę mówić co się nam podoba! Tutaj już matka poczuła się zobowiązana do zabrania głosu. Doszłoby do porządnej kłótni. Ale Cieloch zaczął mitygować: — Tacyście starzy (zwrócił się do babki), a tacy głupi... Wierzcie sobie, jak wam tak dobrze, ale nie dajcie się nabierać... Obiecują wam szczęście w niebie, a coście mieli z waszego życia? — Babka przeżegnała się. A potem zatkała uszy: — Co za antychrysty... innych argumentów nie miała. Rozpłakała się głośno. Potem już do nas nie chodziła i przestała się modlić za ojca.

Nadszedł rok 1933. Rok, który obfitował w wiele ważnych dla mnie wydarzeń. Przede wszystkim zacząłem chodzić do szkoły. Jak się tam w pierwszych latach uczyłem nie pamiętam, wówczas mnie to jeszcze nie obchodziło, ale pewnie nie najgorzej, bo matka przychodziła zadowolona z wywiadówek. W tym roku, niestety nie pamiętam dokładnie pory, lecz zdaje się, że na jesieni, odbyły się w miasteczku wybory do Rady Miejskiej. Ojciec kandydował na radnego. Odczuliśmy to już w niedługim czasie. Przychodził od roboty wściekły i ponury. Niezabitowski urządzał mu awanturę każdego dnia. Czy pracował gorzej? — Nie. Ale brat Niezabitowskiego był kontrkandydatem ojca. Ten Niezabitowski posiadał również folwark w miasteczku, oraz dzierżawił wielki młyn, obsługujący połowę wsi całego powiatu. Matka coraz częściej pytała ojca: — A jak przejdziesz to ci wypowiedzą... — Zobaczymy — odmrukiwał hardo.

Niezabitowskiemu rzeczywiście groziła przegrana. Ojciec był popularny wśród miasteczkowego proletariatu, znali go przecież dobrze. Razem pracowali w cegielni, potem przy budowie cukrowni. Tutaj wyrósł i tutaj się ożenił. Wiece odbywały się często. Znam je z późniejszych relacji ciotki, która nie opuszczała żadnego. — Cholerny komunista z tego Henryka, — to było jej zdanie o ojcu, zdanie pełne uznania. — Ten przynajmniej wszystko wygarnie tym brzuchalom...

W niedzielę tygodnia poprzedzającego dzień wyborów ojciec poszedł do fryzjera, aby się ogolić. Przyszedł niedługo potem do domu. — Wyniosłem Madeję na pasku na ulicę... — powiedział do matki. Później się dowiedziałem, jak się sprawa miała. Otóż ojciec przyszedł do „Głuchego" — tak nazywano fryzjera i czekał swojej kolejki. Po nim przyszedł komendant policji, wysoki, chudy — stąd przezywany przez dzieciarnię, „Gibkim". Madeja był w miasteczku już dobre kilka lat, znał więc wszystkich jak łyse konie. Znali i jego. Z ojcem to nawet rozmawiali od czasu do czasu. Znali się z wieców, na które Madeja przychodził „z urzędu". Atmosfera przedwyborcza wpłynęła bojowo na Madeję. Zaczął rozmowę z ojcem o polityce. A ojcu w to graj. Zaczął wygarniać swoje racje, chętnie to czynił zwłaszcza, że potrafił. Od słowa do słowa, doszło do sprzeczki. Madeja jej szukał. — A nuż znajdzie się okazja, żeby tego komunistę zamknąć — endecy kontrkandydaci byliby pewnie uradowani, piłsudczycy chyba też nie mniej. Doszło do tego, że zaczął ojca popychać. Ten, nie wiele myśląc, odpiął szeroki pas, który nosił przy spodniach, opasał nim wpół Madeję, zarzucił wierzgającego na ramię, otworzył kopniakiem drzwi i wyniósł na ulicę... Potem wrócił do fryzjera. Madeja za nim. Nie ulegało wątpliwości, że w oczach miasteczka jest skompromitowany raz na zawsze. Co uczynić? — Najlepiej obrócić wszystko w żart...

Po południu miał się odbyć wielki wiec. Policja nie pozwoliła na zorganizowanie go na rynku. Trzeba się było dusić w małej salce restauratora Zielonki. Ludzie stali nawet w bramie. Tego samego południa i o tym samym czasie księża urządzili wielką manifestację religijną... tłumy starszych kobiet oblegały kolegiatę... „My chcemy Boga" — zaintonował proboszcz wiecznie zachrypłym basem...

Na drugi dzień wielu tych samych ludzi sterczało po kilkanaście godzin w długiej kolejce przed „Bezrobociem", jak nazywano wówczas Urząd Zatrudnienia... Stali na ulicy... do środka nie wpuszczano, aby nie robić awantur... Z gołych konarów potężnych lip, stojących wzdłuż ulicy, kapały na głowy i grzbiety krople wytrwałego, jesiennego deszczu. Ludzie klęli, ale czekali. Bony na chleb wydawano dopiero po odstemplowaniu wszystkich książeczek rejestracyjnych, a pan Mucha nie śpieszył się z tą robotą, mimo, że dostał już od kilku krewkich kobiet drewniakami po łbie. Kobiety zabrała policja, a pan Mucha wymyślał nowe sposoby dręczenia czekających.

Ludzie czekali, nikt się temu nie dziwił... szło tak przecież każdego roku. Latem podpierali mury rynkowych domów, słońce świeciło, można nawet zapomnieć o głodzie. Zimą, wieczorem, szło się nad tory kolejowe. Pod pachą mocny worek. Przy wjeździe na stację pociągi towarowe musiały zwalniać. Było ciemno. Zasypany śniegiem węgiel wyślizgiwał się z rąk. Ale dzieciaki w domu marzły więc trzeba...

I tak codziennie przez większą ilość dni w roku.

Ojciec mój został radnym miejskim. Nic na długo. Na stycznia dostał terminatkę. Niezabitowscy nie zawiedli oczekiwań matki. Zaczęły się poszukiwania pracy. Ale upłynął miesiąc jeden, drugi, a tu nic. Kazano składać wnioski, ale Niezabitowscy wszędzie trafili. — Komunista! — na to słowo zamykały się przed ojcem drzwi. — Potrzebujemy ludzi do roboty, nie do polityki, — to była najczęstsza odpowiedź. — Żeby to było lato, poszedłbym do roboty na wały, mawiał ojciec. — Wały... w ogólnym pojęciu była to najgorsza robota, jaką można sobie wyobrazić. Pracowali tam ojcowscy koledzy. Klęli na czym świat stoi. Płaca nędzna, a robota przy budowie wałów przeciwpowodziowych ciężka. Widziało się kilku takich w miasteczku. Chodzili przygarbieni, pluli krwią. Na wałach robił mawiano. Tymczasem bieda wciskała się do domu z każdym dniem nachalniej. Matka sprzedała suknię. Starczyło na parę dni, a potem znowu bieda. Nie obcą była ona dotychczas. Zarobek ojca zapewniał jednak minimum. Teraz znikły nawet cienkie skibki chleba, wydzielane oszczędnie przez matkę. Rano, w południe i wieczór, dzień w dzień pojawiały się na stole „ślepe ryby" okraszone kopyścią lub pyrki z solą.

W tym też czasie wszedł ojciec w konflikt ze swoimi pepesowcami. Przestał czytywać „Robotnika", przestał nad nim przeklinać. Przyszedł kiedyś Cieloch. Siadł zmęczony na swoim zwykłym miejscu przy piecu.

— Tumanią nas cholery, z piłsudczykami się wąchają...

Bronisław Szmidt

*) Fragment pamiętnika nadesłanego na konkurs Polskiego Radia i PIW-u.

K. R. ZAWADZKI

OWOCE ZDRADY

Kierownictwo angielskiej Partii Pracy spożywa dziś w postaci klęski wyborczej nic innego jak owoce zdrady interesów angielskiego świata pracy.

Ideologiczny gulasz, ochrzczony przez Attlee, Bevina, Morrisona i S-kę mianem „demokratycznego socjalizmu", w rzeczywistości jest obłudną demagogią, mającą zadanie zamaskować arcyreakcyjną, imperialistyczną treść polityki labourzystowskiej.

Nie jest on zresztą oryginalnym tworem kierownictwa Labour Party, a tylko pawtarzanym na nową nutę, ogranym, aż do znudzenia refrenem reformistycznych melodii, potępiających od przeszło 50 lat postęp i rewolucję, a broniących kapitalizmu. Co więcej. Zestawienie i dokładniejsze porównanie programowych dokumentów Labour Party, a w szczególności mglistych programów wyborczych z roku 1945, 1950 i 1951, wykazuje zdumiewające ideowe pokrewieństwo z programowymi przemówieniami... hitlerowców przed... 1933 rokiem.

Kosmopolityczna gadanina o „zjednoczonej Europie", o „międzynarodowym planowaniu" miała służyć jako dymna zasłona politycznych, oraz gospodarczych przygotowań anglo-amerykańskiego imperializmu do III wojny przeciwko krajom postępu, do podboju i panowania nad światem, do uciemiężenia i wzmożenia eksploatacji kolonialnych.

Polityka rządów Labour Party była tym samym kontynuacją imperialistycznej polityki zagranicznej konserwatystów Neville Chamberlaina i Winstona Churchilla. Przyśpieszała ona wskutek tego procesy gnilne i pogłębiała kryzys monopolistycznej ekonomiki angielskiej. Działo się tak chociażby dla tego, że tzw. labourzystowska „nacjonalizacja i planowanie" oparte były na teoriach czołowych ekonomistów gnijącego kapitalizmu: Keynsa i Beveridgea. Zresztą nawet i te „socjalistyczne zdobycze" Labour Party od dawna już były planowane i opracowywane przez konserwatystów. W latach 1918 — 1944 zaprojektowali oni bowiem (przeprowadzoną ostatnio przez rząd Attlee-Bevina) nacjonalizację niektórych gałęzi przemysłu.

I tak (w roku 1918) Winston Churchill zalecał nacjonalizację kolei żelaznych, Harold Mac Millan (w roku 1938) proponował przeprowadzenie nacjonalizacji przemysłu węglowego, Geoffrey Hayworth (w roku 1944) agitował za nacjonalizacją zakładów gazowych. Prawicowi leaderzy Labour Party podjęli się te projekty tylko po to, aby zareklamować przed wyborami 1945 roku swój pseudosocjalistyczny program. Labourzystowska „nacjonalizacja" doprowadziła jednak do powstania szeregu państwowo-monopolistycznych przedsiębiorstw, a ponadto obdarzyła wywłaszczonych monopolistów — właścicieli nierentownych, zacofanych technicznie zakładów gałęzi przemysłu, milionowymi odszkodowaniami, oraz intratnymi posadami dyrektorów.

Po wielkim zwycięstwie Związku Radzieckiego labourzystowscy chorążowie anglo-amerykańskiego imperializmu, strojąc się w togę przyjaciół ZSRR, przeprowadzili w roku 1945 kolejny oszukańczy manewr. Obiecywali oni: zlikwidowanie impasu w dziedzinie ekonomicznej, poprawę sytuacji mas robotniczych, likwidację władzy monopoli, oraz wzmocnienie sojuszu z ZSRR i utrzymanie pokoju. Oszustwo to pozwoliło im uzyskać przytłaczającą większość w wyborach 1945 roku. Nie przeszkodziło to jednak kierownictwu Labour Party (w kilka zaledwie lat później) poprzeć słynny program Churchilla (przemówienie w Fulton), podjąć się roli organizatorów agresywnych bloków, oraz heroldów „krucjaty" przeciwko ZSRR i krajom Demokracji Ludowej. Tym samym rząd Labour Party sprzeniewierzył się duchowi i postanowieniom anglo-radzieckiego sojuszu z 1942 roku.

Sabotowanie układu Poczdamskiego, udział w Związku Zachodnim i Pakcie Atlantyckim, dobrowolne podporządkowanie się amerykańskiemu dyktatowi, chociażby w sprawach remilitaryzacji Niemiec Zachodnich, Japonii, zwalczanie zasad międzynarodowej współpracy i bezpieczeństwa, akty bezpośredniej interwencji zbrojnej i agresji, popieranie niedobitków faszyzmu, eksploatacja i ciemiężenie narodów, walka z ruchami narodowo-wyzwoleńczymi Azji i Afryki — oto sprzeczna z deklaracjami wyborczymi, zbrodnicza treść polityki zagranicznej Labour Party. Wobec tych nieodpartych faktów, wobec ogromu zbrodni popełnionych w Grecji, na Malajach, w Korei, w Iranie, w Egipcie i w innych krajach, jakże nędznie wyglądają Attlee i Morrison pozujący na zwolenników pokoju i demokracji.

* * *

Wbrew jednak wysiłkom monopolistów City, wbrew zaprzaństwu i służalczości leaderów Labour Party operacyjny obszar dla reakcyjnych, imperialistycznych manewrów zmalał jednak katastrofalnie. Nad politycznym horyzontem Wielkiej Brytanii zawisł groźny cień walk klasowych i narodowo-wyzwoleńczych. W obronie zagrożonych pozycji i przywilejów City monopoliści czują się więc zmuszeni do zastosowanie faszystowskich metod przeciwko masom robotniczym, oraz narodom kolonialnym. Tym bardziej, że te ostatnie poczynają zdawać sobie coraz lepiej sprawę, że jedyną drogą, prowadzącą do wolności narodowej, politycznej i ekonomicznej jest bezpośrednia walka z siłami monopolistycznego kapitału, któremu wiernie służyło i służy nadal, reakcyjne kierownictwo Labour Party.

Agresywny antynarodowy kurs rządu Attlee, będącego u władzy przeszło 6 lat, szkodził bowiem najżywotniejszym interesom angielskich mas pracujących. Anglia ugina się dziś pod przytłaczającym brzemieniem marschalizacji, oraz wyścigu zbrojeń. Dumny ongiś Albion gra od lat poniżającą rolę „młodszego partnera" w amerykańskim Bloku Atlantyckim.

W 6 lat od zakończenia wojny angielski robotnik otrzymuje po dawnemu wskutek zamrożenia płacy zarobkowej, 5 — 6 funtów na tydzień. Tymczasem koszty utrzymania (wg danych oficjalnych) wzrosły od czerwca 1950 roku do czerwca 1951 roku o 25 proc. A jednocześnie wg tychże danych, zyski 1700 największych brytyjskich firm wzrosły w przeciągu tegoż samego roku od 640.000 000 do 783.000.000 funtów sterlingów!

Zima 1951-1952 roku zapowiada się, sądząc z wynurzeń prasy zarówno konserwatywnej jak i labourzystowskiej, jeszcze bardziej ponuro. Ma to być pod względem gospodarczym „najsurowsza" zima po wojnie. Kryzys dolarowy, kryzys opałowy, kryzys transportowy, kryzys handlu zagranicznego, kryzys surowcowy, kryzys w Iranie i w Egipcie — oto żałosne rezultaty rządów Attlee i S-ki.

Kierownictwo Labour Party żywiło jeszcze pewne nadzieje na hojność bogatego wujaszka zza oceanu. Pielgrzymka Morrisona i Gaitskella (ministra finansów) do Waszyngtonu zakończyła się jednak żałosnym fiaskiem. Obaj panowie wrócili z USA... z pustymi rękami. Zdesperowany Gaitskell zmuszony był wobec tego oświadczyć, że Anglię czeka kryzys i katastrofa finansowa. Szczerość ta była zresztą całkowicie uzasadniona. Zaoceaniczny boss warknął bowiem groźnie, że Wielka Brytania musi się zbroić wyłącznie na własny rachunek. 4.700.000.000 funtów sterlingów zaś, przeznaczone przez rząd Attlee na dozbrojenie, ocenione zostały przez amerykańskich pretendentów do panowania nad światem jako pierwszy zaledwie etap znacznie większego programu zbrojeń brytyjskich.

Labourzystowski premier Attlee znalazł się wobec tego między młotem a kowadłem: z dołu rozczarowanie, gniew i wzburzenie oszukanych mas pracujących, z góry zaś, nacisk bezwzględnych amerykańskich bossów. Kryzys polityki wewnętrznej i zagranicznej zmusił przeto kierownictwo Labour Party do ogłoszenia przedterminowych wyborów: w dniu 25 października 1951 roku. Kadencja obecnego parlamentu upływa jednak dopiero w 1955 roku. Oficjalna motywacja labourzystowska powoływała się więc na „nieznaczną większość frakcji labourzystowskiej" w parlamencie (5 mandatów), jako uzasadnienie tej decyzji.

W rzeczywistości jednak kierownictwo Labour Party postanowiło ratować resztki swych wpływów w masach robotniczych, oraz zagłuszyć coraz ostrzejszą krytykę szeregowych członków partii. (Z tych to właśnie względów nawet „rozłamowiec" Beven wezwał już swych stronników do połączenia się z „jednolitym frontem" Attlee).

Labour Party (tak samo zresztą jak i konserwatyści, oraz niedobitki liberałów) nie mają jednak z czym wystąpić przed wyborcami. Dlatego też przedwyborczy manifest labourzystowski, z trudem przeforsowany na kongresie w Scarbourough, ma wybitnie demagogiczny charakter. Wystarczy zacytować tytuł tego dokumentu:

„Naszym głównym celem jest pokój", aby przekonać się o obłudzie, ba, o bezwstydnym zakłamaniu prawicowego kierownictwa Labour Party. Co więcej. Fakty wskazują na to, że labourzystowscy leaderzy bojąc się odpowiedzialności, przerażeni wzrostem opozycji w partii i antywojennych nastrojów w kraju, a nie mogąc zmienić swej polityki pragnęli skrycie zwycięstwa konserwatystów i przejścia Labour Party do „opozycji".

Nie przypadkiem też, wybory powszechne do Izby Gmin odbywały się przy akompaniamencie złowrogiego echa pękających fundamentów Brytyjskiego Imperium. Wzajemne zaś oskarżenia, niewybredne wyzwiska i dosadne epitety rzucane na siebie nawzajem przez obydwie walczące przeciwko sobie partie: konserwatystów (Edena, Lyttletona, lorda Wooltona, Maxwella Fyve z jednej), a labourzystów (Shinwella, Strachey, Gaitskell z drugiej strony), wszystko to było wyreżyserowane. Między kierownictwem Labour Party, a kierownictwem partii konserwatystów istniał bowiem tylko jeden jedyny punkt sporny: które z nich potrafi lepiej wysługiwać się monopolistom Wall Streetu i City. Z góry więc było wiadome i pewne. Bez względu na taki, lub inny wynik wyborów przyszły rząd nie zmieni, ani o jeden stopień swego kursu politycznego i pójdzie starą, utartą drogą imperializmu: zbrojeń i agresji.

Wyraził to cynicznie Times, pisząc:

„Głównym zadaniem przyszłego rządu (bądź konserwatywnego bądź labourzystowskiego) będzie realizacja idei Paktu Atlantyckiego".

Wyniki wyborów czwartkowych były następujące: konserwatyści uzyskali 320 mandatów, labourzyści 293 mandatów, liberałowie 6 mandatów, inni 3 mandaty. Konserwatyści dysponują więc większością 27 mandatów w Izbie Gmin. W związku z porażką wyborczą, Attlee jako ustępujący premier złożył dymisję na ręce króla. Jednocześnie król przyjął leadera konserwatystów, podpalacza świata Nr 1 Winstona Churchilla i powierzył mu misję utworzenia nowego rządu.

Uzyskana przez konserwatystów nieznaczna przewaga (27 mandatów) wskazywałaby na niepewność, chwiejność sytuacji politycznej w W. Brytanii. Lecz w roku 1950 labourzyści uzyskali w Izbie Gmin jeszcze bardziej nieznaczną większość (5 mandatów). Przepowiadano więc, że rząd Attlee nie przeżyje nawet trzech miesięcy. Utrzymał się on jednak u władzy około 1,5 roku. Dlaczego? Dlatego, że Churchill i jego stronnictwo popierali w tym „niczyim" parlamencie zwalczany rzekomo przez siebie rząd „socjalistów". Przecież rząd Attlee realizował również jak mógł najlepiej, wprawdzie pod szyldem pseudosocjalistycznym, „atlantycką" politykę. Dopiero gdy firma Clement Attlee i S-ka znalazła się na granicy bankructwa, to zablokowano jej konto w zaoceanicznych bankach. A jednocześnie zwrócono się do konkurencyjnej firmy Winston Churchill i S-ka polecając jej (tym razem z otwartą przyłbicą) wzmożenie tychże przygotowań wojennych, przyśpieszenie wyścigu zbrojeń i spotęgowanie natarcia na stopę życiową mas pracujących.

Pewny więc swego organ monopolistów Wall Street już w kwietniu 1951 roku pisał:

...konserwatyści mogą w przyszłych wyborach śpiewać jako swój hymn piosenkę: „wszystko co zrobione — my zrobimy lepiej".

Okres wyborów nie zakłócił więc olimpijskiego spokoju monopolistów Wall Streetu. Wiedziano tam bowiem, że po odejściu labourzystów, konserwatyści jeszcze lepiej będą służyć interesom USA. Prawicowi zaś labourzyści w razie porażki, posługując się opozycyjnym frazesem i cyniczną demagogią, odpoczną, odzyskają nie szczędząc demagogii nieco z utraconych wpływów politycznych, pozostając na wszelką ewentualność w rezerwie Departamentu Stanu USA.

Zwycięstwo konserwatystów, pomimo zakłamanym oświadczeń Churchilla o pokoju, oraz obietnic o podjęciu walki przeciwko drożyźnie oznacza jednak wzmożenie polityki zbrojeń, jeszcze większy wyzysk mas pracujących, całkowite podporządkowanie polityki brytyjskiej Departamentowi Stanu i Pentagonowi. Porażka zaś labourzystów wskazuje nie tylko na głęboki ferment i niezadowolenie mas członkowskich z polityki kierownictwa Labour Party, lecz również i ogólną utratę wpływów prawicowego kierownictwa Labour Party w społeczeństwie angielskim. Świadczą o tym „sukcesy" grupy Bevana, która zwiększyła liczbę uzyskanych głosów. Udało się jej bowiem oszukać wielu innych wyborców, wskutek demagogicznej krytyki tempa zbrojeń, oraz napaści na konserwatystów.

W Anglii istnieją jednak siły, które mogą uniemożliwić zsynchronizowaną pracę „dwupartyjnej" maszyny Churchilla — Attlee. Są to milionowe rzesze angielskiego świata pracy.

Klęski sześcioletnich rządów barbarzyńskich były bowiem surową lekcją dla angielskich mas pracujących. W rezultacie kryzys w Labour Party osiągnął swój szczyt. Masy członkowskie zarówno Partii Pracy jak i związków zawodowych z pewnością zarządają od swych zdradzieckich przywódców zdana rachunków z katastrofalnych rządów. Prawicowemu kierownictwu Labour Party nie uda się w dalszym ciągu oszukiwać i żerować na łatwowierności i nieuświadomieniu proletariatu angielskiego.

K. R. Zawadzki

JAN KOPROWSKI

WIERSZE LUBELSKIE

I.

Chodzę znowu po ulicach i wspominam:
tyle dziejów i lat.
Jak nie kochać tego miasta Lublina,
w którym życie,
słońce i wiatr.

Stąd wiodła droga w przyszłość —
najpiękniejsza ze wszystkich dróg.
Do Warszawy, do Łodzi —
przez Wisłę.
Któż by o tym zapomnieć mógł?

Stare domy z uliczek i przedmieść
nowym gmachom podają dłoń.
Tutaj nocą księżycową i we dnie
rośnie życie
tysiącem rąk.

Gdzie w ojczyźnie piękniejsze miejsce?
Które miasto droższe, która wieś?
Tobie moja myśl i serce
i nowa, gorejąca pieśń.

II.

Na tej ziemi łagodnych wzgórz
i podmokłych na przedwiośniu dolin,
strach przed nocą wzbierał i rósł
szumem smukłych przydrożnych topoli.

Na tej ziemi dzieliły miedze —
żgała w oczy niejedna żerdź.
Kto tą miedzą przejdzie lub przejedzie,
temu chłopska kłonica w pierś.

Ziemia w trudzie zasypuje granice,
wilcze doły. W pracy rodzi się dzień.
Rzucą w czerwcu łany pszenicy
dojrzały na drogę cień.

Po tej ziemi jedziemy wiosną,
w czas roztopów i błot.
Patrz, już ziarno z podglebia wyrosło —
ziemia nowy rozwija lot.

III.

Wracać co dzień do miast i siół,
ścierać rosę ze skroni i czół,
płynąć z prądem Bystrzycy, przez Bug,
iść drogami pośród tylu dróg;
patrzeć w pola, ogrody, sady,
witać nowe spółdzielcze gromady,
przypominać miejscowości znane:
Gościeradów, Bychawę, Janów,
w Międzyrzecu odwiedzać domy
bliskich krewnych i dalekich znajomych;
chodzić, chodzić po lubelskiej ziemi
i oglądać oczami swoimi,
jak w trudzie codziennym i prostym
ludzie budują i rosną.

Z prasy radzieckiej

Kształcenie kadr literackich

Jak pisać? — Jak wyrobić sobie indywidualny styl? — oto pytanie, które nurtuje każdego początkującego pisarza. Wątpliwości rodzą się tym poważniejsze, im większą odczuwamy odpowiedzialność wobec literackiego dziedzictwa postępowej przeszłości i zadań obecnej chwili. Poszukiwania prowadzą w gąszcz wielorakich doświadczeń. Rozterka rodzi się nie z braku doradców, ale właśnie w chwili stwierdzenia, że każdy wielki pisarz przekazał nam swoje niepowtarzalne artystyczne doświadczenia, a bogactwo różnorakich wskazań utrudnia odnalezienie młodemu pisarzowi własnej drogi. Dlatego przestrzec należy przed „chałupniczym" poszukiwaniem tajemnic kunsztu pisarskiego. Spadek literacki przeszłości, mistrzostwo literatury radzieckiej, to nie jest poradnia, z której można brać „na wyrywki" tę, lub ową receptę. Jedynie przyswojenie sobie wiadomości w ramach jednolitego systemu, twórcze zaanektowanie już istniejących doświadczeń literackich pozwalają wzbogacić nowy warsztat. Jednym słowem, chodzi tu o marksistowskie przetrawienie historii literatury i o bolszewicki, aktywny, twórczy stosunek do życia.

Taka koncepcja legła u podstaw słynnego już Instytutu Literackiego im. Gorkiego w Moskwie, który kształci młodych pisarzy. Inicjatorem, założycielem tej jedynej na świecie w dziejach literatury instytucji jest Maksym Gorki. W r. 1934 na Pierwszym Wszechzwiązkowym Zjeździe Pisarzy wielki pisarz proletariacki powiedział: „Państwo proletariuszy musi wychować tysiąc wybitnych „mistrzów literatury" i „inżynierów dusz". Gorki uświadomił starszemu pokoleniu pisarzy, że powinno ono podjąć „dzieło organizacji literatury".

Instytut powstał. Działał najpierw jako szkoła wieczorowa. Ogromne dodatnie doświadczenia pozwoliły rozszerzyć zakres zajęć i zorganizować coś w rodzaju wyższego zakładu dla początkujących pisarzy. Znaczenie Instytutu jest dziś wszechzwiązkowe, a nawet wszechświatowe, ponieważ dzieło Gorkiego stanowi pierwszą w historii literatury i pedagogiki marksistowską uczelnię, kształcącą rewolucyjnych proletariackich pisarzy.

Zakres nauczania Instytutu opiera się zasadniczo na programie Wydziału Filologii Uniwersytetu Moskiewskiego. Istnieją aspirantury, działają seminaria poezji, prozy, krytyki i dramaturgii, jak również twórczości dla dzieci. Powstał dział korespondencyjny, który kształci młodych pisarzy poza Moskwą. Studenci wyższego kursu praktykują w gazetach i czasopismach, absolwenci wyjeżdżają na wielkie budowle komunizmu.

Instytut zdobył już ogromne doświadczenie w zakresie wychowania nowych kadr literackich. Dość uprzytomnić sobie, że stąd właśnie wyszli powszechnie dziś znani pisarze tacy, jak A. Niedogonow, S. Babajewski, W. Ażajew, S. Michałkow, E. Malcew, A. Koptiajewa, N. Biriukow, P. Worońko, M. Łukonin, M. Aligier, L. Olszanin, E. Dołmatowski, S. Wasiljew, A. Jaszin, L. Skorino i inni. Niektórzy jak Muchtarow, Kazakow, Emin otrzymali stalinowskie nagrody za rok 1950. Czytelnicy radzieccy z radością witają nowych twórców. Absolwenci Instytutu im. Gorkiego, to członkowie Związku Pisarzy Radzieckich, autorzy poczytnych książek.

A. Makarow w Nr 82 „Litieraturnoj Gaziety" publikuje garść informacji, dotyczących najnowszych dyplomantów. Instytut pracuje w skali wszechzwiązkowej, skupia młodych pisarzy ponad czterdziestu narodowości. Pięć lat temu młodzież tu wniosła w mury uczelni pamięć bohaterskich bojów w Wielkiej Wojnie Narodowej. Wróciła ona wtedy do studiów, przynosząc ze sobą wielkie doświadczenie życiowe. Pierwsze wiersze i felietony, drukowane w przyfrontowych gazetach, stanowiły jej cenny wkład do życia literackiego, a zarazem dawały moralne prawo do stania się „prawdziwym pisarzem".

W obecnym roku z Instytutu wyszła nowa kadra młodych pisarzy: 19 poetów, 13 prozaików, 5 krytyków.

Jak zdobywali oni wiedzę literacką, tajniki kunsztu pisarskiego?

W Instytucie odbywają się wykłady, ale jeden dzień w tygodniu (czwartek) wolny jest od zajęć. Przychodzą „starzy majstrowie", zasłużeni i doświadczeni pisarze, którzy prowadzą ze słuchaczami seminaria twórcze. Prowadzone są one przez takich pisarzy, jak Fadiejew, Erenburg, Ławreniew, Marszak, Surkow, Issakowski, Simonow, Priszwin, Szaginian, Katajew, Dołmatowski i inni.

Pisarze dzielą się swoimi doświadczeniami i spostrzeżeniami z zakresu „techniki literatury". W tej formie starsza kadra pisarska radziecka owocnie wychowuje nowe kadry. Seminaria twórcze, to wartościowa i najważniejsza forma współpracy dojrzałych pisarzy z młodzieżą literacką. Treścią rozmów stają się własne utwory starszych pisarzy i próby młodych. Analiza prac, rady i wskazówki, wreszcie żywa, niczym nie skrępowana szczera dyskusja pomagają studentom zdobyć właściwy sąd literacki. Dyskusja wyrabia w młodzieży zdrowe, krytyczne spojrzenie na własną twórczość, daje umiejętność posługiwania się środkami literackimi.

Przewijają się w tych dyskusjach takie zagadnienia, jak praca nad językiem, zbieranie materiału obserwacyjnego i jego segregacja, prowadzenie akcji głównej, oraz drugo- i trzecio-planowej, konstrukcja charakterów, typizacja postaci, charakterystyka postaci poprzez język, nowatorstwo i tradycja, osiągnięcia rosyjskiej prozy postępowej ub. stulecia, a doświadczenia współczesnej literatury radzieckiej, umiejętność „wchodzenia w życie" i t. d. Każdy z wykładowców — głośnych pisarzy radzieckich dzieli się swoim dorobkiem, zapoznaje słuchaczy z własną drogą twórczą.

Warto zapoznać się, chociażby pobieżnie, z treścią rozmów przeprowadzonych przez znakomitych pisarzy radzieckich ze studentami Instytutu. Ciekawe, bogate w doświadczenia wskazówki przydadzą się również i naszym początkującym talentom.

Zdaniem A. Fadiejewa, ten, kto chwyta za pióro, powinien dobrze znać życie, być człowiekiem współczesnym we właściwym znaczeniu tego słowa, powinien jasno i wyraźnie widzieć cel, dla którego pisze i wreszcie powinien rozumieć, że twórczość artystyczna jest jednym z rodzajów pracy ludzkiej. Ale artysta — mówi Fadiejew — powinien wywiązać się także z jednego jeszcze zadania: „powołany jest, by wiele przewidzieć — w zalążku nowego winien już dostrzec triumf tego nowego". „Jedynie ucząc się stale od życia, studiując leninowsko-stalinowską teorię rozwoju społeczeństwa, jedynie w oparciu o dużą wiedzę faktyczną w najróżnorodniejszych dziedzinach, pisarz zdoła nie tylko dotrzymywać kroku życiu, ale je również wyprzedzać i wiele przewidywać".

Fadiejew po nowemu stawia problem nowatorstwa. Burżuazja uważa za nowatorstwo nowe chwyty, nowe formy. Nie można pomijać znaczenia „formalnych odkryć". Ale dziś nowatorstwo to coś więcej. „Nowatorem nazywamy człowieka, który przede wszystkim odkrył nowe w życiu, odkrył i w ujęciu artystycznym ukazał to nowe w jego rozwoju, w perspektywie".

Autor „Młodej Gwardii" kładzie duży nacisk na konieczność wytrwałej pracy nad utworem. „Istotnie wartościowy utwór prozaiczny można stworzyć jedynie w wyniku bardzo dużej i wytrwałej, nie tylko umysłowej, ale również fizycznej pracy, włożonej w opowiadanie, nowelę, czy powieść". Żmudna jest praca nad językiem. Pisarz ma do wyboru morze słów i pojęć: trzeba odrzucić mnóstwo wyrazów, aby wybrać słowo najbardziej skuteczne, właściwe. Fadiejew powołuje się na przykład Lwa Tołstoja: badacze znaleźli przeszło dziewięćdziesiąt wariantów jednego z artykułów autora „Wojny i pokoju". Praca Tołstoja nad słowem była gigantyczna. Z notatek jego widać, jaką olbrzymią robotę przedwstępną wykonywał, rozpoczynając każdą nową książkę. Studiował specjalnie język rosyjski, stare słowniki, gromadził słowa, zbierał fakty i obserwacje. Kreślił plany akcji, prowadził kartotekę zrodzonych w wyobraźni postaci. Podobnie tytanicznie pracował nad rękopisem Gorki. Autor „Moich uniwersytetów" zawsze zalecał początkującym literatom, by uczyli się języka i widzenia życia od ludu.

Olbrzymie znaczenie dla poziomu dzieła ma umiejętność segregacji zebranego materiału. Dojrzałe oko mistrza odróżnia od razu rzeczy najważniejsze, które należy ustawić centralnie, od bogactwa pobocznych szczegółów. Organizację materiału uważa Fadiejew za rzecz najtrudniejszą. „Dzieło literackie to jakby mieszkanie — niebezpieczna to sprawa, gdy się je przeludnia". Fadiejew przestrzega młodych pisarzy przed sztampą, przed specjalizacją w zakresie jednej tylko formy. Realizm socjalistyczny zakłada rozmaitość form.

Na wszechzwiązkowej konferencji młodych pisarzy, b. absolwentów Instytutu, wystąpił K. Fiedin. Jakie wskazania odnajdujemy w jego przemówieniu. Młodemu pisarzowi — zdaniem Fiedina — wiele pożytku przynosi praca w gazecie. „Dziennik jest szkołą obserwacji nad życiem", uczy kontaktu z życiem i zwięzłej formy.

Fiedin radzi prozaikom zaczynać od formy krótkiej: „Wielkie płótno nie jest jeszcze wielkim obrazem". Opanowawszy mniejszy zakres — przejść do większego zadania. Ćwiczyć się w kunszcie pisarskim zawsze i w każdym wypadku. Nie wolno pisać dla miesięcznika lepiej, a dla gazety gorzej. „Nie ma żadnych pośledniejszych „gatunków literackich", ale istnieje upośledzający je stosunek do nich".

Fiedin śladami Lenina („O czystość języka rosyjskiego") i Gorkiego nawołuje do walki z zaśmiecaniem języka prowincjonalizmami i żargonem zawodowym. Wymagania, które stawiamy słowu, muszą być bardzo wysokie. Pisarz powinien znać „życie słowa" własnego narodu. Jedynie w oparciu o bogactwo języka narodowego, czerpiąc ze źródeł twórczości ludu — można stworzyć czysty, piękny styl literacki. Fiedin przypomina sąd Aleksego Tołstoja: „Język jest narzędziem myśli". Otóż dla wyrażenia bogactwa myśli, bogactwa wiedzy o życiu koniecznością staje się bogata forma czyli kunszt. Ale „kunszt", który nie służy wielkiej treści jest oszustwem. To się właśnie nazywa formalizmem: powłoka nie zawierająca treści wewnętrznej, technika dla techniki".

Grzegorz Timofiejew

ANTONI ZAPOTOCKY

DZIADEK GŁOSUJE*)



Rys. St. Gierowski

Do „Spółki" Oświatowo-Pożyczkowej dla okolicy Budczy zapisał się dziad wiejski Kolmistr. Kolmistr mieszkał w nędznej chałupinie i pobierał co miesiąc zapomogę. Kiedyś zachorował. To znaczy położył się i już nie mógł stanąć na własnych nogach, ani tym bardziej wyjść przed chałupę. Innego rodzaju choroby nie uznawało się na wsi. Jakiś tam katar, kaszel, ból głowy, kłócie w krzyżu, ani nawet ciąża u kobiet — nie były na wsi uważane za chorobę. Bardzo często kobieta na drugi dzień po porodzie musiała się brać do roboty. Chorym było się wtedy, kiedy już człowiek nie mógł ruszyć ani ręką, ani nogą. W takich wypadkach Spółka wypłacała zapomogę w wysokości 20 grajcarów dziennie i to przez 13 tygodni. Babcia Kolmistrowa chodziła w każdą niedzielę do krawca Budeczskiego, a ten jako sekretarz Spółki wypisywał polecenia. Kwit opiewał na 1 złoty 40 grajcarów. Przewodniczący Wosmik potwierdzał swoim podpisem i już potem kasjer Waldek wypłacał Kolmistrowej 1 zł 40 grajcarów. Wyobraźcie sobie: gmina dawała 1 zł na miesiąc, a Spółka 1 zł 40 grajcarów co tydzień. Kolmistrowa odmłodniała, a dziadek Kolmistr, który przez całe lata modlił się i na nic tak niecierpliwie nie czekał, jak na to, żeby go Pan Bóg powołał do siebie i żeby się jego utrapienia na tym świecie skończyły — ten dziadek Kolmistr zaczął nagle żałować, że już musi umierać. Zaczął się modlić, aby mu Pan Bóg przedłużył żywot, choćby na okres tych 13 tygodni, przepisanych w Spółce na otrzymywanie zasiłku. Pan Bóg tym razem wysłuchał Kolmistra i pozwolił mu żyć, dopóki nie wybrał całego zasiłku.

Kiedy już było zupełnie jasne, że Kolmistr rozstanie się z tym światem, nie dawała dziadkowi spać zapomoga pogrzebowa. Według tego, co mówił krawiec na walnym zebraniu, zapomoga wyniesie całe 10 złotych, jeśli tylko będzie stu członków. Każdy członek w wypadku śmierci drugiego zapłaci szóstaka. Jeżeli będzie dwustu, to wtedy zapomoga wyniesie 20 złotych. Spółka ma teraz stu trzydziestu członków, obliczał sobie dziadek Kolmistr. To znaczy, że jego baba zainkasuje całe 10 złotych za skórę starego, bo nadwyżka sponad stu członków idzie na fundusz. Tak to powiadał krawiec na zebraniu. Mogłoby się przydarzyć, że zmarłoby na raz dwu członków, a dwa szóstaki zainkasować jeden za drugim — toby nie była łatwa sprawa. Dopiero kiedy zapisze się dwustu, zapomoga wyniesie 20 złotych. Tak uchwalono.

Dziadek Kolmistr snuje wspomnienia na śmiertelnym barłogu, a wspomnienia grzeją. Dziadek ma już prawie 80 lat. Napracował się przez całe życie. U gospodarzy, w kamieniołomie, na drodze. Nie zdarzyło się, żeby kiedy o czym decydował, albo żeby głosował. Wszystko mu zawsze kazali: masz to, Kolmistrze, zrobić. O piątej przyjdziesz do roboty. O szóstej pójdziesz do domu. Tyle, a tyle dostaniesz za robotę. Tak masz pozdrawiać pana, tak masz dziękować panu, tak masz pana prosić, a tak się modlić do Pana Boga.

A teraz ni stąd, ni zowąd na tym walnym zebraniu, jak to powiedział ten sakramencki krawiec?

— W Spółce jesteśmy wszyscy równi. Każdy jest swoim własnym panem. Czy ma majątek, czy go nie ma. Każdy ma równe prawa. Nikt nie musi słuchać drugiego. Każdy może według swojego rozumu podawać projekty, głosować i decydować. Tylko te postanowienia, uchwały i przepisy są ważne, które sobie sami członkowie przegłosują. Tego trzeba pilnować i dotrzymywać.

I głosowało się. Każdy może podnieść swobodnie rękę, czy jest za, czy przeciw. To znaczy zgadza się albo się nie zgadza. Kolmistr nie odważył się podnieść ręki. Nie głosował. Ale sakramencki krawiec spostrzegł.

— Są tu członkowie, którzy nie korzystają ze swoich praw i nie głosują. Na przykład Kolmistr. Czemu nie głosujecie dziadku?

Dziadek podniósł ze zdziwieniem głowę:

— To się mnie też niby dotyczy? Ja mogę także głosować i decydować?

— A dlaczego nie?

— No widzicie, ja, że tak powiem, jestem tylko dziadem na utrzymaniu gminy.

— A iluż to ludzi wyście utrzymywali, dziadku, swoją pracą? Małoście się to napocili i namęczyli. Już by was dawno gmina powinna za waszą pracę mianować honorowym obywatelem.

Obywatelem? — Tak to powiedział ten krawiec przed wszystkimi ludźmi. I przed Waldekiem, przed wójtem. A on przecież zawsze, ile razy przyjdzie wypłacić zapomogę, wrzeszczy na dziadka Kolmistra: — Znowuście przyszli, darmozjadzie? Znowu chcecie obżerać gminę? Myślicie, że my, gospodarze, będziemy tylko na was pracować? Pięknie by to wyglądało, jakby tu każdy dziad chciał tak jak wy obżerać gminę. Ta skała powinna was na dobre ukatrupić. Nie miałbym kłopotu, a gmina wydatków.

Rzeczywiście, myślał sobie nieraz dziadek Kolmistr: dlaczego skała w kamieniołomie tak spadła, żem się tylko zrobił niezdolny do pracy? Dlaczego żeś mnie, Panie Boże, nie dobił do końca? Ile by się to utrapień oszczędziło i ile wymyślania? A teraz ja, stary Kolmistr, bity i zahukany, ja mam prawo decydować i głosować!

I mimo śmiertelnych boleści zrobiło się dziadkowi lekko na sercu. Z przyjemnością wspomina, jak podnosił rękę, on, dziad wiejski, i jak po raz pierwszy w swoim życiu miał prawo swobodnie głosować i decydować. To on zadecydował, że wszyscy mają wpłacać 20 grajcarów co miesiąc do Spółki i 10 grajcarów na zapomogę pogrzebową, w wypadku gdy zemrze jaki członek.

To, co większość dobrowolnie i bez przymusu przegłosowała, muszą jednak wszyscy solidarnie przestrzegać, dotrzymywać i wykonywać. I o tym pamięta dziadek bardzo dobrze, ale przecież wtedy przy głosowaniu chwycił go strach. Dotrzyma zobowiązania, za którym głosował?

Jeśli idzie o płacenie składki — to nie ma obaw. Stoczył dziadek wielki bój ze swoją starą, kiedy oświadczył, że zapisał się do Spółki. Babka żegnała się, załamywała ręce, prosiła, a kiedy i to nie pomagało, zaczęła okrutnie wymyślać: „Kto by tam kiedy słyszał, mościewy, dziad wiejski i do Spółki? W Spółce trzeba płacić, a ty z czego będziesz płacił, stary wycieruchu? Nie dość tego, co przełajdaczysz i przekurzysz? Jeszcze mu się Spółki zachciało. Popamiętaj sobie, że ode mnie na Spółkę ani grosika nie wycyganisz."

„Przełajdaczysz i przekurzysz" — medytuje dziadek. Na tydzień paczuszka tytoniu, tego najtańszego po 3 grajcary — to jest 12 grajcarów miesięcznie. Co tydzień jedna szklaneczka śliwowicy za 2 grajcary, to jest na miesiąc 8 grajcarów. W ten sposób wydaje dziadek te 2 szóstaki, które mu babcia Kolmistrowa wydziela z każdomiesięcznej zapomogi gminnej.

Dobrze — wyrzeknie się. Rzuci palenie. Zresztą można kurzyć obierki z kartofli, albo wiśniowe liście. Mało się tego nakurzył jako mały chłopak? I śliwowicy nie będzie się piło. Z tego wynika, że dwa szóstaki na składkę są pewne.

No, ale co będzie jakby kto umarł? Chryste Panie, skąd wziąć tego trzeciego szóstaka? To byłby dopiero wstyd, jakby tak kto umarł, a dziadek Kolmistr nie zapłacił, nie dotrzymał tego, za czym sam głosował podniesieniem ręki.

Ale kto może prędzej zemrzeć ode mnie? — Tak sobie medytuje dziadek Kolmistr, przeglądając w myśli członków Spółki. Jest tam kto starszy ode mnie?

Może stary Czajka? Ma więcej, niż osiem krzyżyków... Tak, ale Czajka gospodarzy jeszcze i chodzi po ogrodzie. Całe lato przespał w szałasie, żeby mu chłopaki jabłek nie oberwali. I biega po wsi jak Burek. Nie, Czajki nie ma się co obawiać. Kostucha o nim, ani pomyśli. On mnie na pewno przeżyje — myśli dziadek Kolmistr.

A cóż stary Hroch? Ten to użył. Był w Meksyku z cesarzem Maksymilianem. Cesarz pan bidak został się tam za oceanem, ale Hroch wrócił do domu. Ani mu włos z głowy nie spadł. Po prawdzie przywiózł tam ze sobą jakąś febrę, co znowu zdrowia nie daje. Zrobili Hrocha listonoszem, dostał medal i emeryturę. Domek sobie postawił na skraju wsi. Hroch na pewno będzie chciał jak najdłużej pobierać emeryturę. Zasłużył sobie na to. Po co by miał umierać? Nie, Hrocha także nie mamy się co obawiać — stwierdza dziadek Kolmistr.

Ale, ale — jest jeszcze stary Zeman z Kowar, sakra, z nim już naprawdę niedobrze. Pracował w kopalni i przygniótł go węgiel. Od tego czasu bulgocze w Zemanie, jak pod przykrywką w garnku, kiedy się woda gotuje. Ile razy słychać z Kowar sygnaturkę — każdy się pyta, czy to już Zemanowi dzwonią. Wiadomo — co kopalnia, to kopalnia. No, daj mu Panie Boże lekkie odpoczywanie. Ale kto dostanie tę jego chałupę? Tymczasem stary Zeman chodzi jeszcze po świecie, kaszle i nie umiera. Po co on się w ogóle do tej Spółki zapisał? Zeman nie daje spokoju dziadkowi Kolmistrowi. To jest jednak bardzo poważny konkurent. A do tego, komu on tę śmiertelną zapomogę zapisze? Baba śpi już dawno pod darniną, dzieci dorosły, błąkają się gdzieś tam po świecie.

Teraz to rzeczywiście zamyślił się dziadek Kolmistr na dobre, aż mu zmarszczki wyszły na czoło. Dzyń, dzyń — dzwoni coś niedaleko, gdy przymknąć oczy. Dzyń, dzyń — i znowu po chwili — dzyń. Dziesięć złotych. Całe bielutkie, srebrne dziesięć złotych. Orzeł po jednej stronie, a cesarz pan po drugiej. Jak to już długo nie widziało się złotego? — A tu naraz dziesięć takich brzęczących złociaków.

A kto je dostanie? Baba, sakra. A jak to gębę darła, kiedy się przystąpiło do spółki. Nie dam, ani grosza — jęczała. I wypominanie było — a teraz pobiera co tydzień 1 złoty 40 grajcarów. No, ale też prawda. Skąpa to ona tam nie jest. Tytoniu dziadkowi kupi co tydzień — i już nie tego najtańszego, ale po cztery grosze. I ćwiartkę żytniówki na miesiąc, żeby to siły jeszcze nabrał. I mówi do niego „dziadziusiu". — Uszanowania niby nabrała.

Ale — dzyń, dzyń — dziadku — dziesięć złociaków, całe dziesięć złociaków. Co ta baba z tym zrobi? Policzmy, no, dziesięć złotych to jest zapomoga na pół roku. Nie, gdzie tam, to prawie na cały rok.

Uśmiecha się dziadek Kolmistr do siebie i myśli, jak to dobrze, że się zapisał do tej Spółki. Czego to ten sakramencki krawiec nie wynalazł. A czego to o nim nie gadali, jak tu przyszedł na przymusowe osiedlenie. Czy to niby w ogóle prawda, że go tu policaje odstawili? Bo jest socjał. A baby opowiadają, że to niby arcyksiąże Rudolf chodzi w przebraniu między ludźmi. Licho go wie. Panowie zawsze mają swoje fanaberie. A familia to się rzeczywiście cesarzowi panu, z przeproszeniem, jakoś nie wydarzyła. Żona mu podobno ciągle lata po świecie. Syna mu zabili. Nie, podobno nie zabili, tylko że rozzłościł się i wyszedł jednego wieczoru z pałacu. Chodzi ponoć po kraju jak zwykły człowiek, bo go stary wygonił. No, ale ten stary cesarz to też jest dziwna sztuka. A na baby zawzięty, jak Malek, niby ten handlarz świński. To dopiero musi kosztować.

Ale znowu — na co by cesarz pan wybierał podatki? I co by to był wart taki naród, jakby cesarza pana nie stać było na parę panienek? Podobno sułtan turecki ma ich całe haremy. Wozi to z sobą po całym państwie. A co tam taki pogański sułtan wart w porównaniu z naszym cesarzem, panem z Bożej łaski?

Tylko dlaczego niby cesarz pan i jego ministrowie nie pomyśleli, żeby dawać po 10 złotych? Ano, zrobił to ten socjalista — ten krawiec — jeśli on w ogóle jest krawcem. Przecież mówi po niemiecku tak samo jak po czesku, a pisać, pisze lepiej, niż wszyscy adwokaci w mieście.

Tak. Teraz sobie już umrę — myśli dziadek Kolmistr. — To już wiadomo, jak amen w pacierzu. I już ani Czajka, ani Hroch, ani ten stary Zeman — nie dadzą mi rady. Z tego wynika, że już nie ma się co bać, żebym nie dotrzymał tego, co się samemu postanowiło i za czym się głosowało. Szkoda, że ta Kostucha nie może poczekać. Chciałoby się tak jeszcze pogłosować. Aż dusza w człowieku rośnie, jak się podnosi rękę i jak wiadomo, że się z tym każdy liczy. Dziadek Kolmistr pomału podnosi rękę do góry i opuszcza ją z powrotem. Po chwili z satysfakcją powtarza swoje ruchy i nie może się nadziwić.

Kiedy babcia Kolmistrowa weszła do izby — dziadkowi zaświtało nagle w głowie. Józiu, chodź no tu bliżej, dzisiaj jest piątek? Nie? Tak, do niedzieli byłoby jeszcze dwa dni. — Niechaj babcia pobiegnie do krawca Budeczskiego i niech mu powie, że dziadek do niedzieli zemrze. — Co się tak mroczysz? To już na pewno. Dlatego powiedz, że pięknie proszę. Słyszysz? pięknie proszę, żeby był tak dobry i niech napisze kwit na zapomogę pogrzebową, dziesięć reńskich, rozumiesz? — Babcia rozpłakała się:

— Jezus, Maria, stary, co ty wyprawiasz?

*

Wnętrze izby ledwo rozświetlała wąska smuga z zaklejonego papierem okienka. Chałupa należała do gminy, która nie chciała dać pieniędzy na to, żeby ją oszklić.

Dziadek nie widział dobrze.

— To wy, panie majstrze? A to dopiero baba pomieszała wszystko. Przecież ja jej tylko kazałem, żeby prosiła...

— Wiem, dziadku. Przyszedłem żeby wam wyjaśnić, że tak nie można. Nie mogę tego zrobić. Po pierwsze dlatego, że wy jeszcze nie umieracie. Będziecie nieraz jeszcze wysiadywać na progu i nie jednemu jeszcze oddzwonicie sygnaturkę na pożegnanie.

Niedaleko chałupy stała kapliczka z sygnaturką, a gmina nałożyła na mieszkańców chałupy obowiązek wydzwaniania, ilekroć w Zakolanach rozstał się ktoś ze światem. Wydzwanianie należało do obowiązków dziadka i babci Kolmistrowych.

— Po wtóre, wiecie przecież dziadku, że zapomogę wypłaca się spadkobiercom, gdy już kto umrze. Chodzi tu często o małe dzieci. Samiście za tym — o ile pamiętam — podnosili rękę.

— No to niby tak było panie majstrze. Rzeczywiście głosowałem za tym tą moją ręką.

— No, widzicie, dziadku, co było swobodnie i według własnego rozumu postanowione — tego trzeba dotrzymać. Ja tego muszę dopilnować, nie miejcie mi za złe.

— Za złe to ja tam nie mam, panie majstrze. Wyście człowiek rozumny. Ja też wiem, że się swobodnie głosowało, ale też rozumu to ja tam za dużo wtedy nie miałem. Wierzcie mi, panie majstrze, sakra, że jakbym wtedy miał ten rozum co dzisiaj, to bym wystąpił i dałbym wniosek.

— No, a jaki to byłby wniosek, dziadku?

— Toby był wniosek, żeby starym ludziom, którzy nie mają dzieci, wtedy kiedy wiadomo, że muszą umrzeć, tak jak to jest ze mną, żeby się takim wypłacało pogrzebowe jeszcze przed śmiercią.

— Myślicie, żeby to mogło przejść?

— A dlaczego nie? Ja, stary Zeman, Hroch, Czajka i inni starzy — my byśmy byli na pewno za tym. No, ale teraz nie da się nic zrobić. Nie złośćcie się, panie majstrze, że was ta stara baba wyciągnęła z domu. Wiecie, myślałem sobie, że to jakoś weselej by się umierało i że jej starej też trochę by lżej było. Przecież ona tam ze mną za dużo dobrego nie użyła.

— Co byście to zrobili z tą piątką?

— No, urządziłoby się złote wesele. Bo my już razem 50 lat, a nigdy nie było pieniędzy. Nasze pierwsze wesele też znowu za huczne nie było. Ja byłem wtedy za pastucha, a ona, Józka, na folwarku. Pobraliśmy się rano w kapliczce przy mszy, a za godzinę trzeba było znowu do roboty. Józka została na folwarku, a ja odbywałem poślubną podróż na piechotę, żeby mi się bydło w Ujeździe nie rozlazło na wszystkie strony. Tak to panie majstrze, jak człowiek leży i nie ma nic do roboty, to go różne myśli nachodzą. I tak myśmy sobie dopiero dzisiaj powiedzieli z babką, żeśmy się właściwie kochali. I tak pomyślało się, żeby człowiek użył jeszcze trochę przed tą śmiercią. Ale nie da się nic zrobić, bo się tak uchwaliło. Powiem to Zemanowi, a może i Hroch się z tym pogodzi, żeby na przyszłość przegłosować inaczej. Ale i bez tego powiem, że niby ze Spółką toście mieli, panie majstrze, dobry pomysł. To ludzie powinni zapamiętać, panie majstrze. Szkoda, że was tu policyjnie przyprowadzili. No, tak się myśli. Nie gniewajcie się, panie, ja tam naprawdę nic złego nie myślę.

— Nie, dziadku, nie ma się o co obrażać. Ale znowu niepotrzebnie myślicie o śmierci. Jeszcze się przecież podźwigniecie i jeszcze może będziecie nieraz tańczyć z babcią oberka.

— Co to, to, panie majstrze, nie wcześniej, aż przed chórem anielskim. Ale jeżeli można zapytać: pójdzie to cała Spółka na mój pogrzeb?

— Pewnie, że pójdzie. Postanowiliśmy przecież, że w pogrzebie każdego członka Spółki wezmą udział wszyscy inni członkowie.

— To dopiero będzie. Szkoda tylko, że się już sami nie zobaczymy. A przemówienie nad grobem będzie?

— Będzie, dziadku.

— To znaczy w imieniu Spółki?

— Tak w imieniu Spółki.

— Aha, a czy chorągiew będzie także?

— Chorągiew? Nie, dziadku, chorągwi jeszcze przecież nie mamy. Ale jak chcecie chorągwi, no to jeszcze jeden powód, żeby poczekać ze śmiercią.

przełożył Andrzej Piwowarczyk

*) Z książki pt. „Przyjdą nowi bojownicy".

ASKAD MUCHTAR

UZBEKISTAN

W uliczce okolonej zielenią i mrokiem
Stoi domek niewielki, świeci szóstką okien.
Dzieło budowniczego, znak, że się rozrasta
I zarazem ozdoba stalowego miasta.
Do szkieł okna i framug niebieskich, a wąskich
Smukły czinar wyciąga zielone gałązki.
Tutaj mieszka Szamurad. Zapewne go znacie.
Jest to bowiem najlepszy hutnik w Begowacie.
Już minął dzień roboczy i teraz wieczorem
Winna łoza śpi wsparta o balkonu poręcz.
Miasto w całym swym pięknie u nóg mu się ściele:
Wesołe stosy ognisk, sadów bujna zieleń.
Marzenia niezwalczone objęły go dzisiaj
On to cały agregat poprowadził dzisiaj.
I teraz patrzy w łunę rozbłysłą w oddali
Uzbeckiej, młodej, przezeń wytopionej stali.

przeł. TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI



Foto - WAF

STANISŁAW SIEKIERSKI

Uwagi o krytyce

UWAŻNE przeglądanie krytyki literackiej i recenzji w naszych czasopismach literackich uprawnia do wniosku, że w znacznej większości wypadków nie spełniają one należycie przypadającej im roli zarówno w oddziaływaniu na autora jak i na czytelnika.

Znakomita większość tak zwanych recenzji to mniej, lub więcej szczegółowe streszczenia wydanych książek, okraszone ogólnikami recenzenta. Ogólniki mają tę właściwość, że dadzą się z powodzeniem odnieść niemal do każdego omawianego dzieła literackiego.

Dla przykładu recenzja H. Kirchnera — „Spotkania pisarza" („Wieś" nr 38 (320). Po informacyjnym omówieniu treści, poszczególnych partii recenzowanego dzieła, autorka wyciąga kilka wniosków, w rodzaju: „W tym opowiadaniu spotykają się ludzie o jasno określonej pozycji ideologicznej. Przywiodły ich do tego spotkania drogi, które prowadziły do Polski Ludowej..." „Natomiast wszystkie pozostałe utwory zbiorku cierpią na „ideologiczne niedookreślenie".

„Ideologiczne niedookreślenie" — a co to jest takiego? Właśnie niedookreślone określenie, a poza tym można by je umieścić rzeczywiście w każdej recenzji, pod warunkiem, że nie wyjaśnimy o co chodzi. Tak też uczyniła H. Kirchner. Ani z tego ma korzyść autor, którego „objechano", ani czytelnik.

Chodzi tu o poważny problem, o pomoc jaką autorowi powinien zapewnić krytyk w kształtowaniu i rozwijaniu konfliktów epoki. No a, że takiej pomocy autorowi wspomniane omówienia dać nie mogą to chyba jasne. Trzeba szukać nowych, większych form krytyki literackiej, trzeba dyskutować na łamach prasy problemy literatury tak, jak to się dzieje w Związku Radzieckim. Krótko mówiąc odczuwa się brak — publicystyki literackiej. Ucichły burzliwe i płodne dyskusje na temat epiki („Wieś"), przebrzmiała kampania o Majakowskiego („Nowa Kultura").

Ukazują się co prawda poważne prace w zakresie historii literatury, badania nad naszym dorobkiem literackim wydają obfite plony, ukazały się również pozycje książkowe omawiające zagadnienia twórczości współczesnej (Kierczyńska, Matuszewski), ale na łamach prasy literackiej. Poza niewielkimi wyjątkami — głucho. A to oznacza utratę dyrektywności w stosunku do piszących, oznacza szkodliwą bierność w polityce kulturalnej, a więc rezygnację z podstawowych założeń wychowawczych naszej literackiej prasy w stosunku do autorów.

Uprawiane dotychczas formy krytyki literackiej z okazji recenzji nie wydają się wystarczające. Przyczajony krytyk czeka na ukazanie się książki, streszcza ją po uczniowsku, a następnie (w lepszym wypadku) przykłada do niej utarte schematy i stwierdza, czy pasują. A więc określa, czy widzi wyraźnie walkę klasową, rolę Partii, oraz „stare i nowe".

Tego rodzaju krytyków jakże świetnie ocenił jeszcze... Dobrolubow: „...przystępuje do autorów z formalną miarką, jak do przyprowadzanych na punkt poborowy chłopów i krzyczy „zdatny" lub „nie zdatny" zależnie od tego, czy miarka pasuje do rekruta, czy też nie. Rozprawa jest tu krótka i zdecydowana".

A oto nasze, rodzime miarki w krytyce literackiej:

„Zapewne i w tym upraszczającym skrócie dostrzeże czytelnik zafałszowania naturalistyczne, które zawarte są w całym poemacie". (Wł. Maciąg, „Życie Literackie" nr 10—1951 — „O twórczości Stanisława Piętaka").

Naturalizm — zarzut bynajmniej nie błahy. Ale dlaczego Piętak jest naturalistą? dokonuje zafałszowań, tego krytyk nie pokazuje, natomiast wmawia w czytelnika, że sam z pewnością zauważył. Jeżeli tak, to cała zasługa po jego stronie, a jeżeli jednak nie?

„Historia obu par — małżeństwa Kulbarów i narzeczeństwa Walaszczków są może bardzo życiowe, ale też bardzo nieprzekonywujące, zbyt przesłodzone. Psychologicznie niewytrzymane". (L. Flaszen, „Życie Literackie" 1951, nr 16).

I bądź tu mądry — szanowny czytelniku! Czy dlatego nieprzekonywujące, że życiowe? Co to znaczy wytrzymać postacie psychologicznie? Jakto? Autor wie, że „psychologicznie wytrzymane", ale czy życiowe tego nie wie Powiada — może. Paradoks leży nie tylko w sprzecznych sformułowaniach, ale przede wszystkim w oczywistym fakcie, że wiedza krytyka o życiu da się określić słowami: może wie, a może nie.

Bogdan Wojdowski zarzuca Koprowskiemu („Wieś", nr 33/315) — „Zbeletryzowana biografia chłopska"): „Przykra jest zwłaszcza przyrządzona przez autora gwara, na którą składają się zlepki regionalizmów, począwszy od mazurzenia, aż do wszelkich form gwary podkarpackiej".

Gwara Koprowskiego jest rzeczywiście niekonsekwentnie stosowana, ale ową „podkarpacką" wymyślił już krytyk osobiście, a nie autor omawianej książki.

Dotykamy tu problemu ogólnie znanego, lecz pewnych rzeczy nie dość jest powtarzać. Te „zafałszowania naturalistyczne", i „niedotrzymania psychologiczne" — jak zapewne czytelnik dostrzega to — zasłony dymne poza którymi — jakże często — kryje się niewiedza krytyka o życiu. Zdaje się, że czas już aby wielu krytyków zrezygnowało z roli poganiających pisarza — jak to się mówi — w teren, lecz mu towarzyszyło. Jak dotąd dowiedzieliśmy się o jednym tylko krytyku w terenie, który zresztą przyznał, że tak mu się tylko złożyło.

Ale samo towarzyszenie pisarzowi w obserwacji i prawidłowym opisie faktów i procesów społecznych oczywiście nie wyczerpuje zadań współczesnej krytyki. Jest to dopiero jedna i — być może — nie najważniejsza strona medalu. Pozostaje druga o której, poza małymi wyjątkami, nasza prasa literacka milczy.

Zdezorientowanemu czytelnikowi może się na pozór zdawać, że nasze tygodniki literackie istnieją głównie po to, by na ich łamach mogli wieść krytycy spory z pisarzami, a główne zadanie pisarzy — to dostarczanie tematów do tych sporów. Tymczasem czytelniku — sprawa tak wygląda, że zapomniano o tobie.

Nie trzeba dziś nikogo przekonywać, że w Polsce Ludowej czyta literaturę większa część społeczeństwa, reprezentująca rozmaite tradycje czytelnicze. Recepcja literatury jest różna i wciąż jeszcze rozmaite o niej opinie czytelnicze. Poza nieśmiałymi i nie bardzo udanymi badaniami „Czytelnika" nie wiemy co dzieje się z książką, która doszła do rąk nie krytyka, lecz tego dla którego została napisana, rąk — robotniczo-chłopskiego odbiorcy i nowego inteligenta.

Zmieniły się programy nauczania w szkołach średnich, młodzież wyrabia sobie nowy stosunek do literatury, czyta i komentuje pisarzy współczesnych. Niezbadane są wyroki naszego młodego i masowego czytelnika o naszej literaturze. Wiele klubów robotniczych posiada własne kółka literackie, przy terenowych, wiejskich świetlicach i bibliotekach powstają koła dyskusyjne...

Dotychczasowa rola krytyka kończyła się zazwyczaj na zrecenzowaniu wydanej książki. To nie wystarcza. Trzeba iść z książką do czytelnika, uchwycić proces recypowania wartości ideologicznej i artystycznej dzieła literackiego. Bez tego nie może być pełnej, rzetelnie postulującej pod adresem pisarzy krytyki.

Omawiając „Burzę" Ostrowskiego zwraca Dobrolubow uwagę krytykom na fakt, że wbrew ich niejasnej, negatywnej opinii o Ostrowskim, czytelnicy i widzowie ocenili sztukę pozytywnie, zadecydowali o jej powodzeniu. Sprawa wydawałaby się bardzo prosta, gdyby nie poważne zastrzeżenie, które trzeba na tym miejscu wnieść. Chodzi mianowicie o zagadnienie tzw. „poczytnej powieści". Niemal każdy kto zna Łódź zna równocześnie — „Sygnał w ciemnościach". Zaraz po ukazaniu się kolejnego numeru „Ekspresu Ilustrowanego", spotyka się setki ludzi w tramwajach, parkach, lub nawet na ulicach zaczytanych w owej powieści. Takich „sygnałów" mamy w Łodzi więcej. Oto „Dziennik Łódzki" rywalizuje z „Ekspresem" przy pomocy konkurencyjnej powieści pt. „Cienie areny", niejakiego Widzewskiego, kto wie, czy nie literata, lecącego na łatwy zarobek. Nie chodzi mi o rolę i zadania naszej codziennej prasy. Ważne jest w naszym zagadnieniu to, że owe „powieści" podbijają serca ogromnej ilości ludzi. I to nie jest tylko sprawa dreszczyków emocjonalnych drobnomieszczaństwa i lumpenproletariatu. Np. „Ekspres" czytuje niejeden robotnik. Zapobiec wydawaniu szmiry, przeciwstawić się fałszywej opinii czytelniczej, powołać do życia nową, oto jeszcze jedno zadanie stające przed krytykiem. Jego bowiem zadaniem jest także obrona bezpośrednia czytelnika przed szkodliwą społecznie szmirą.

Siekierski Stanisław

ANDRZEJ SKUPIEŃ-FLOREK

Listy ze wsi

Z regionu podhalańskiego

Dyćse na Podhalu dobrze ino zato,

e trzysta dni zimy, reśta samo la
"!

Na przekór tej starej góralskiej przyśpiewce, upłynął cały bieżący rok. Tegoroczne owiem lato było nie tylko dłuższe, iż zazwyczaj, ale było też i ciepłe, jednak nie za suche. Skutkiem przyjających warunków atmosfeycznych i nawozów sztucznych — tórych w tym roku dla rolników odhala dostarczono o 50 proc. więj — nadzwyczaj piękne i obfite yrosły siana i koniczyny, tak erwszego jako też i drugiego poosu — jedyny i bardzo wartościoy produkt dobrego żywienia bya, który zarazem podnosi wydajość mleka.

Owiesek — jedyne zboże, udające ę na skalistej glebie podtatrza, óry dawniej dla tubylczej ludnoi był tym, czym na nizinach pszeca czy żyto — w tym roku i on owniez wynagrodził tutejszym rolkom stratę, jaką ponieśli w ubiegm roku przez posuchę i dwukrot gradobicie. Owies w tegoroczym planie dał swojemu gaźdz e ażo dorodnego ziarna i obfitość doej słomy.

Krowy i owce wypasają się na hach, czy to tutaj w Tatrach, czy na żej położonych pod Nowym Taram halach Jaworki — również i e nie „zbyrcały" zębami po gołych spiekoty pastwiskach, ale karmi się bujnym porostem soczystej awy. Słowem, cała przyroda — jeli chodzi o region Podhalański — raz z wydajną pomocą Rządu i wyżoną pracą rolnika stanęły obok bie, by wspólnym wysiłkiem, już drugim roku 6-cio letniego pla pomnożyć płody ziemi.

Jedynym płodem naszej ziemi, ja się tutaj nie udał, to ziemniaki, óre w przeciwieństwie do reszty aju, gdzie nie udały się na skutek suchy — u nas na Podhalu — nieodzaj ziemniaków nastąpił wskuk długotrwałych deszczow i to w resie wiosennym, co spowodowało ygnicie sadzeniaków wcześniej podzonych, oraz opóźnienie dalszego dzenia.

Mówiąc o dodatnim plonie siana słomy z owsem, i to w obecnej wili pewnych braków na rynku ęsnym, wiem, że wśród ludności ast i braci robotników, entuzjaz wielkiego nie wzbudzę. Siano i ma z owsem, zapewne dla nich ma żadnego znaczenia—a jednak ym urodzajem trzeba się cieszyć entuzjazmować. Pamiętamy boem, zeszłoroczny nieurodzaj paszy bydła, który dotknął podgorską ać kraju, nie mieliśmy siana łomy z owsem, ani połowy tej ilości jaka była potrzebna do przezimonia bydła. Stan bydła w tamtym ku był zadawalający i wyrównył straty spowodowane przez okunta. Ale że CRS, ani też FZGS rskich powiatów, nie zajęły się wozem paszy z innych terenów, mo usilnych próśb rolników, usiło to gospodarży do masowej sprzedaży i zabijania „nadliczboch" sztuk bydła, co miało miej w miesiącach, od grudnia do luo. Wtedy naprawdę mięsa było ść, komisje skupu żywca nie nazając nie chciały przyjmować doowadzanego bydła na punkt sku a rozżaleni gospodarze wracali ydłem do domów i za bezcen zedawali je prywatnym handlam na rzeź. Jeżeli chodzi o naszą łdzielczość samopomocową, na rą w owym krytycznym czasie rzyli i liczyli wszyscy rolnicy — trzeba rzec, że spółdzielczość, a zej kierujący nią zawiedli i wyali ogromne niedołęstwo i to tak skupie żywca jako też i w dostarniu paszy, przez zorganizowanie wozu. Są to dwa duże błędy, któobecnie mszczą się i dają znać o ie brakiem mięsa.

Dzięki inicjatywie niektórych jedtek spośród miejscowego chłopa, którzy w porozumieniu z PGR ospodarzami znajdującymi się na miach Odzyskanych, zorganizoi wagonowy dowóz słomy i sia uratowano około 30 proc. bydła, ie miało niechybnie pójść na zae. Tutaj należałoby postawić kretne pytanie: Dlaczego władze S, względnie powiatowe władze łdzielcze nie mogły dostarczyć ikom potrzebnej paszy dla by a dlaczego mogli to zrobić pryni ludzie? Nie było w tym wyku żadnych niemożliwości, skonni mogli to zrobić. Dlaczego GS Poroninie mogła sprowadzić 3—4 gony słomy, a nie sprowadziła cej? Dlaczego ta sama GS uwakowała sprzedaż tej słomy, jedy gospodarzom kontraktującym awę lnu na rok 1951? Co powieć o członkach i pracy takich załów w powiecie, w gminie? Mó się obecnie na naradach grolzkich o tych ludziach i o tych lach, i to przy udziale delegatów owiatu i GS. Nie jeden z nich i się kajać i do błędów przyzna pod naporem ostrej krytyki pów, co miało miejsce już po drugi w gromadzie Glirzarów ny.

asz Gminny Związek Samopoowy, organ zawodowy, jako też ółdzielczy, ma szczęście gościć na swoich zebraniach delegatów nie raz nawet z województwa, którzy nie rzadko w sprawach rolniczych i zaopatrzeniowych kraju są tylko laikami, i niejednokrotnie swoim wystąpieniem zrażają członków do organizacji, a nieraz i do rządu. Cóż powiedzieć o takim obywatelu delegacie, członku wojew. Zarządu Zw. Sam. Chłopskiej, który na walnym zebraniu członków Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" w Poroninie, na prośbę członków o zwiększenie przydziału nawozów sztucznych dla tutejszego GS, odpowiedział:

— „Po co Wam potrzebne nawozy sztuczne, kiedy szkoda nawozów, skoro tu nie rodzi się żadne zboże chlebowe — Rząd nasz kieruje nawozy sztuczne tam, gdzie mało ziarna wyda 12 — 15 metrów zboża. Wy tu macie same trawy, bez nawozów wyżyjecie, bo Rząd i tak Wam mąkę przysyła i chleb macie". —

To prawda, chleb mamy, nawet biały, ale ten obywatel, delegat, najwidoczniej zapomniał, że ludność kraju nie tylko chlebem żyje, że obok chleba są potrzebne: mięso, tłuszcze, mleko i masło. Zapomniał, że naszemu Rządowi Polski Ludowej tak samo i na tych produktach zależy jak i na zbożu i chlebie.

My rolnicy właśnie z tych regionów górskich i podgórskich, przez hodowlę bydła i uprawę traw jesteśmy producentami mięsa, mleka, masła i tłuszczu, ale żeby móc tę produkcję podnieść i zwiększyć dostawy ludziom miast i robotnikom musimy coraz większe ilości siana, słomy i buraków produkować przez racjonalną uprawę, która wymaga stosowania nawozów sztucznych. Wie o tym nasz rząd i nie wymaga od nas z Podhala dostaw i sprzedaży zboża państwu, ale domaga się od nas dostaw mięsa, wełny, mleka i jaj.

Toteż każdy poszczególny chłop-gospodarz — rozumiejąc swój obowiązek wobec własnego państwa cieszy się tegorocznym obfitym zbiorem siana, koniczyny i słomy z owsem, którymi to paszami w tym roku zapełnił wszystkie stodoły, poddasza i kąty swojego zabudowania.

Skutkiem tego podnosi się pogłowie bydła i w miejsce wyzbytej sztuki z żalem sprzedanej, czy zabitej zimą, dziś chowają się dwie młode jałówki, z których do lat dwu będą już krowy. Obecnie w naszej gminie przystąpiły gromady do współzawodnictwa w dostawie mleka i coraz to nowe powstają zlewnie.

Jedną z ostatnich to zlewnia mleka w Glirzarowie Górnym, która mimo, że najmłodsza, a jednak otrzymała pierwszą nagrodę za największą ilość odstawionego mleka. Nagrodą tą jest apteczka weterynaryjna przyrządów ratowniczych bydła. Cenne i bardzo pożyteczne narzędzia w gromadzie.

Przyjezdni obserwatorzy tegorocznych obchodów dożynkowych, które na szczeblu gminnym obchodziliśmy w Poroninie, podziwiali nasz tłumny udział i rozradowane twarze, pytając nas o rację tych dożynek, skoro prócz wieńców z owsa nie widzą innych zbóż? Mądrą odpowiedź dał im chłop, prelegent Cachro, który w swoim referacie dożynkowym między innymi powiedział:

„...Choć nasza skalna ziemia nie rodzi pełnokłosistej pszenicy, bo nie rodzi żadnej, to jednak chłop podhalański na równi z chłopem z urodzajnych okolic w pszenicę i żyto, cieszy się z każdej osiągniętej nadwyżki plonu swej pracy, cieszy się z każdego snopka owsa i każdej wiązki koniczyny, której większą ilość nad zwykłą normę dzięki swej pracy, wyciągnął z ziemi. Cieszy się każdym litrem mleka uzyskanego przez podniesienie mleczności swoich krów, cieszy się każdą przyhodowaną sztuką cielęcia, barana czy trzody chlewnej. Z tego tytułu ma też pełne prawo do radosnego obchodu dożynek."

Specyficzny klimat Podhala powoduje, że my tutaj w stosunku do reszty kraju, skup zboża wykonujemy dopiero w chwili obecnej. Mamy owies, sprzedajemy państwu owies — a że tegoroczny urodzaj był obfitszy, niż ubiegłego lata, plan skupu idzie sprawnie — ludność podjeżdża na punkt skupu tłumnie i gromadami, w magazynie w Poroninie góra sprzedanego państwu owsa rośnie. Uosobieniem chętnej gotowości sprzedaży zboża niech będzie średniorolny gazda Sobek, który przez tegoroczną sprzedaż dwu tuczników spółdz. Sam. Chłopska uzyskał prawo zwolnienia od obowiązku sprzedaży zboża, on jednak na zebraniu i na naradzie gminnej oświadczył, że przewidzianą dla jego gospodarstwa ilość owsa odstawi i takowy w dniu dla niego przewidzianym tj. 24.X. do punktu skupu odstawił, przy czym powiedział, że on ten owies sprzeda tak jak i jego współbracia chłopi z pszennych ziem sprzedają swoją pszenicę, której po zamienieniu na mąkę i jemu w konsumpcji przypadnie współudział, bo sprzedając państwu owies wie, że z państwowych dostaw nabędzie sobie mąki pszennej dość. Ten sam Sobek zaś, w dniu 27.X. zakontraktował w tym roku już trzecią sztukę trzody chlewnej, dla której z miejsca otrzymał 100 kg śruty zbożowej. — Sobek — jak powiedziałem jest tylko uosobieniem, bo za nim idą średnio i małorolne rodziny Skowyrów, Rzadkoszów, Skupniów, Cudziechów i wielu, wielu innych gospodarzy wsi podhalańskiej. I to niechaj napawa otuchą braci rodaków, ludzi miast i fabryk i pozwoli im wierzyć w nasz wytężony marsz w socjalistyczną Polskę.

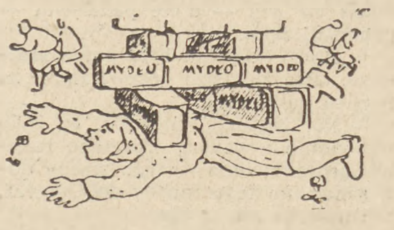
Andrzej Skupień-Florek

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca września br. urzędy pocztowe, oraz listonosze wiejscy i miejscy przyjmować będą wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

Gazetka gminna

Do 20 kg wzwyż

Chcę na łamach gazetki złożyć serdeczne podziękowanie przewodniczącemu naszej Gminnej Rady Narodowej w Bełdowie — Stefanowi Andrzejczakowi. Bije spekulantów i panikarzy po łapach, ile wlezie. A, że przy okazji dostało się i mojej babie Agnieszce, za to do Andrzejczaka czuję wdzięczność, bo kobieta się zaktywizowała, czyta teraz wszystkie wydawane zarządzenia i pilnuje naszej Gminnej Spółdzielni



przed spekulantami, jak oka w głowie.

A było to tak. Przylatuje wieczór do naszej chałupy Kluskowa i powiada, że „mydło wycofują ze sprzedaży od jutra". Huknąłem na babę, ale zamknęły się z moją Agnieszką w komorze i szeptały przez godzinę. Na drugi dzień miałem odwieźć ziemniaki na punkt skupu. Powiadam do Agnieszki, żeby jechała ze mną, ale baba postawiła się okoniem: „Ważniejsze mam sprawy do załatwienia, niż ziemniaki" — wrzasnęła i pobiegła na wieś. Na noc do domu nie przyszła, a rano spotkałem ją zmarzniętą na kość pod naszym sklepem spółdzielczym. Cały babski Bełdów się zleciał. Wrzask był przy tym wielki, bo te, które sterczały pod sklepem przez całą noc, jakoś teraz wypchnięte zostały na koniec kilometrowej kolejki (Agnieżka też), a na przodzie znalazły się bogaczki z Kluskową na czele. A wszystkie po mydło.

Pół dnia tak kupowały po 3 i 5 kg. Agnieszka też przyniosła 5 kg do domu i poleciała znowu. Ale już z mydłem nie wróciła. Poszedłem drugi raz pod spółdzielnię, patrzę, ogłoszenie wisi na drzwiach: „Mydło sprzedawane może być jedynie w ilości 1 kilograma lub w ilości nieograniczonej od 20 kilogramów wzwyż"... Podpisał: przewodniczący GRN — Andrzejczak. Idę do magazynu, patrzę, baby siedzą i przekonują się, że choć wykupiły ponad 100 kg mydła w magazynie jest go tyle, że starczy jeszcze na trzy miesiące.

Dopiero teraz zrozumiały, że to spekulanci z Kluskową na czele takie zamieszanie wywołali. Dostało się im od naszych kobiet solidnie. Najzagorzalej pilnuje spekulantów moja Agnieszka. — Niech jeszcze raz spróbują! — odgraża się.

Wojciech Stelmach

Dziwy planowania

Gmina Lubawa Wieś w powiecie Nowomiejskim — to sami hodowcy.

Wiadomo, przy hodowli bekonów niektóre sztuki, a mianowicie wysortowane maciory i knury, muszą iść na mięsno - słoninowe, no i od czasu do czasu trafi się jakaś świńska pokraka nie na bekon. Jednym słowem miesno - słoninowe przy hodowli bekonów to zupełnie tak, jak braki przy produkcji dajmy na to materiałów.

Przyszły plany na 1952 rok.

Zebrali się kierownicy grup hodowców, mężowie zaufania, samopomocy, spółdzielcy i radzą w Gminnej Radzie Narodowej.

Plany duże: 5000 bekonów i 900 mięsno - słoninowych.

— Dacie radę? — przewodniczący.

— Ciężko będzie, ale z bekonami poradzimy. Ten co w 51-ym hodował cztery, w 52-im wyhoduje pięć. Dobra! — mówią chłopi.

Ale z mięsno - słoninowymi to chyba omyłka.

Przecież hodowli nie przestawimy — 5, 6, no, z dużą biedą — 7% bekonów pójdzie na mięsno - słoninowe. 350 sztuk, to wszystko co możemy.

A oni tak jakby chcieli nas zmusić do produkcji braków.

Podjęliśmy więc zobowiązanie na 52 rok: 5000 bekonów, 350 mięsno - słoninowych.

Poszło pismo gdzie należy. I bardzo szybko przyszła odpowiedź. — Zgodnie z życzeniem hodowców lubawskich obniża się plan na 52-gi rok w dostawie mięsno - słoninowym z 900 na 830 sztuk.

Gdzieś w górze ustalono, że 17% hodowanych u nas świń na bekony się nie nada. To się nazywa czyste planowanie! Nieskalane związkiem z rzeczywistością. Czy dziwić się, że czołowy hodowca gromady Tuszowce, ob. Maciej W., gdy wiadomość dotarła do niego, machnął ręką i mruknął pod nosem:

— Ano, będzie ile będzie. Co z głupimi gadać!

W. Bruda

Wesoły kułak

Strasznie się ucieszył nasz gromadzki kułak Bajon 12 hektarowy bogacz, kiedy nasza wieś Targowisko odstawiła wykonany z nadwyżką cały plan odstawy ziemniaków i odstawiła ponad 13 ton.

Kiedy o tym przekroczeniu planu zakomunikował nam na zebraniu sołtys Konieczny — Bajon aż w ręce klaskał, nawet okrzyki bojowe wznosił.

Dziwili się ludzie skąd u Bajona taki zapał.

— To widać dobry człowiek, nie potrzebnie na niego szczujeta — odezwała się jedna z kobiet.

A ludzie kręcili głowami, że się tak Bajon odmienił.

— A cóż to za kułak — mówili. — Warto takiego za opłatą pokazywać.

Niestety okazało się, że nie warto. Stało się to jeszcze kiedy sołtys oświadczył, że Bajon z wymaganych odeń wg. planu 7 kwintali — odstawił tylko 4,5 kwintala. Podła też



okazała się jego radość. Cieszył się — bestia, bo myślał, że mu się upiecze: „Pośpieszyli się, tym lepiej. Gromada w porządku. Więc mi dadzą spokój, upiecze mi się".

Nie upiekło mu się jednak. Gromada postawiła się mocno — i Bojan musiał odwieźć... ziemniaki.

Przywiózł nawet nie dwa i pół a, pięć i pół kwintala.

Chciałem się zapytać chłopów z innych gromad, czy mają też wesołych kułaków i czy umieją im tak, jak my przemawiać do rozsądku.

Stanisław Klimek

Dlaczego tylko 10%

Kiedy piszę, że gromada Michałowice, powiatu miechowskiego w krakowskim wykonała plan kontraktacji w... 10 procentach, kuleje ze skupem zboża i zalega z podatkami — to jest szczera prawda. A wyjaśnienia przedstawicieli GS, ZSCh i GRN to znowu blaga jakich mało.

Kasjerka GS oświadczy wam, że gromada była źle zaopatrzona w węgiel i dlatego hodowla się nie udała. Michalina Bogata i Elżbieta Bubka — członkinie GRN pochwalą się na wyścigi, że agitują od rana do nocy, ale nic nie wychodzi, bo naród wokoło nie bardzo świadomy. Sołtys Andrzej Wójcik i Jan Kołacz — aktywista samopomocowy wskażą na brak paszy i zakończą skromnie, że sami stanowią porywające przykłady ofiarności, która nie wiedzieć dlaczego nie działa na chłopów.

Nie dajcie się nabrać. Węgiel oczywiście był, jak zresztą wszędzie, nie wiadomo tylko — gdzie, raczej — u kogo się podział. Szuka go właśnie prokurator. Bubka i Bogata sławne agitatorki nie oddały jeszcze, ani ziarnka zboża. Kołaczowi również się o tym zapomniało. Jedynie sołtys Wójcik odsprzedał państwu 300 kg zboża podjął „przykładowo" zobowiązanie na 1.200 kg.

Oto porywający swą ofiarnością aktyw gminny! Cóż, zbiera takie plony na jakie zasłużył. Proponujemy wziąć go do galopu. Agitatorki może będą mniej gadać, ale przypomną sobie na czym polega wychowawcze znaczenie osobistego przykładu, Kołacz zrozumie, że bez pracy nie ma kołaczy, a bez prawdziwej ofiarności — prawdziwych aktywistów, sołtys nauczy się liczyć,a gromada podciągnie.

Jerzy Smutny

Śpiąca królewna i sikawka

My w Orońsku nie chwaląc się umiemy się śpieszyć. Bo wiadomo, że kto prędko daje, dwa razy daje — dlatego jeszcze ciemno, a przed magazyn skupu zboża w Roszkach zajeżdżają furmanki. Magazynier, daj mu Boże zdrowie, uwija się owszem niczego sobie, tak, że na ósmą, dziewiątą jest po wszystkim... Powiecie Bajka — Tak, ale prawdziwa bajka zaczyna się dopiero wtedy, gdy przyjdzie do zapłaty za dostarczone zboże. Okazuje się wtedy, że w Roszkach żyje (a raczej śpi) prawdziwa śpiąca królewna. Jest nią kasjerka magazynu Helena Bomek. O 10 godzinie biedactwo jeszcze chrapie pod pierzyną — ledwo na 12-tą do pracy zdąży.

Wobec tego chcieliśmy się poradzić kochanej redakcji, jak się zapatruje na pomysł naszego kolegi Jaśka K., który jest... to znaczy co by było, jakby tej śpiącej królewnie tak siknąć strażacką sikawką przez okno? Wstałaby chyba, co?

Z poważaniem
Jakub Magura

Szanowny obywatelu Magura. Weźcie pod uwagę porę roku — listopad — niewątpliwą delikatność śpięcej Heleny i nieobliczalne następstwa jakie mogłyby spowodować użycie tego drastycznego środka.

Sądzimy, że rola królewicza, budzącego śpiącą królewnę przypaść powinna prezesowi G. S. **Redakcja**

Drugi punkt skupu

Donoszę redakcji naszej kochanej Gazetki Gminnej, że we wsi Łuszczanowice, powiatu piotrkowskiego zastałem osobliwą sytuację. Pracuje tam mianowicie o jeden punkt skupu za dużo. Te łuszczanowickie dwa punkty skupu służą różnym celom politycznym, ale skupują niemal to samo: świnki, cielątka, ostatnio — ziemniaki.

Na jednym — państwowym wypełniają chłopi swoje zobowiązania wobec państwa ludowego. Małorolny **Ziemba** w mojej obecności przywiózł 6 q ziemniaków ponad plan i oświadczył skromnie: „to dla robotników, ino żeby koniecznie doszły, ale nie mówta, że ode mnie". Wywiadu do gazetki wstydził się dać. **Graczyk i Cieślik** małorolniaki, także własnowolnie sypnęli pięknymi bulwami ponad plan. I tak prawie wszyscy chłopi z gromady. Piszę: „prawie", ponieważ, kochana Redakcjo, zdarzają się tacy, co odstawiają na **„drugi punkt skupu"**. Tam rządzi niejaki **Władysław Zyber**, znany od lat skupywacz kurek, gąsek, świnek, cielątek, teraz zaś i ziemniaków. Tęgi plotkarz, oczywisty wróg klasowy, mistrz od wywoływania panikarskich nastrojów. Ostatnio porządnie podreperował swój interes. W ciągu kilku dni wepchnął wystraszonym gospodyniom kilka worków soli i teraz każda we wsi zupa przesolona, sprzedał ze trzy metry mydła, masę pasty do butów. Mnie namawiał na zeszyty, których podobno poza jego interesem już nie ma. A tak gadał, żem się musiał złapać mocno za legitymację korespondenta, co — jak wiecie — pomaga na zanik czujności klasowej. Ostatnio upił i próbował zbamałmucić małorolnego Szlugę, ale chłop się pomiarkował i ziemniaki przywiózł na właściwy punkt skupu. W ten sposób gromada wyszła już na 90%.



Ale co zrozumiał biedniacki, patriotyczny chłop — tego GRN w żaden sposób pojąć nie może. Bo gdyby pojęła, nie latałyby urzędniki chyłkiem po sznurowadła do sklepikarza. Co ważniejsze zlikwidowano by wreszcie ów drugi „punkt skupu". A warto, proszę Gminnej Rady Narodowej, bo to i plan na 100% wyjdzie i zniknie jedna z podpór spekulacji, burzyciel socjalistycznego rynku handlowego.

Piotr Pigwa.

Dwa zapisy

W naszej gminie Brójce wiszą na tablicy dwa zapisy wskazujące, kto i jak odstawia zboże na punkt skupu. Na pierwszym figuruje Popek Jan — gospodarz jedno-hektarowy, Pyszniak Jan — gospodarz na 3 ha, Józef Pawlik — siedzący na półtora hektara piachu, Antoni Rudzki sołtys ze swoimi pięcioma hektarami, Świderek właściciel 2 ha i td. Ci oddali zboże państwu w terminie, a niektórzy — jak Rudzki — z nadwyżką.

Na drugim znajdziecie Zakrzewskiego z Woli Rakowej gospodarza 15 hektarowego, Zawadę Jana ze swymi 11 ha, Piasta Stanisława 12 hektarowca, Klepacza Franciszka posiadającego 11 ha dobrej ziemi itd. Ci nie odstawili ani ziarnka. Ponoć nie mają nic. Teraz jest według ich zdania tak, że na jednym hektarze lepiej się rodzi żyto, niż na 14-tu, choćby nie wiem jaka było gleba. Słowem na odwrót.

Nie mogą więc państwu sprzedać swoich nadwyżek zbożowych, bo mają w porównaniu z biedniakami znacznie mniej. Ale niech no przyjdzie jaki towar do spółdzielni w Brójcach. Znowu wszystko odwraca się na opak. I taki biedniuśki 14-to hektarowy Zakrzewski gna jak opętany do sklepu. A za nim cała czereda Klepaczów, Piastów, Kawulów. Są piecyki w spółdzielni, dobra! Kupią w ciągu dnia 20 sztuk. Są pralki, wykupili 70. Jest mydło, biorą. Płatki owsiane też. Przydadzą się.. Bo teraz jest według ich mniemania tak, że ten bogatszy, któremu się „mniej" rodzi na polu, musi więcej towarów wykupić, bo na większym gospodarstwie gospodarzy.

Całe szczęście, że my tak na opak wywrócić gospodarki naszej gminy Brójce nie pozwolimy. Przetrzepaliśmy spekulantom i bogaczom już nieraz skórę, przetrzepiemy i teraz. Nie podważą naszego planu i wykonania naszych zobowiązań wobec Państwa nawet „najbiedniejsi" bogacze.

Maciej Kobiera.

ANTONI KOWOL MARCINEK

Narodziny świadomości czy coś takiego

Kiedy 38 lat temu, zdala od ojczystych stron, w głębokiej Westwalii, dokąd rodzina moja za chlebem wyjechała, przyszedłem na świat, umarł mój ojciec. Całe utrzymanie i wychowanie nas czworga spadło na matkę. Któż tam wówczas myślał o biednej wdowie po górniku?... Później otrzymywała, (po kilkuletnim staraniu) rentę wdowią w wysokości 5 zł miesięcznie.

Los półsieroty nie ciężył mi bynajmniej w owych latach pierwszego dzieciństwa. Było mi nawet, jak to mówią „na rękę". Przed matką zawsze łatwiej ukryć pewne przewinienie; matka w wielu wypadkach występki swych dzieci osądza sercem; a w dodatku pięść matki nie jest tak twarda jak ojca.

Codziennie prawie matka moja była poza domem, na zarobku — albo odrobku u gospodarza który był tak dobry i pozwolił jej na małym kawałku swego gruntu zasadzić ziemniaki; ze dwa razy do roku jechał do lasu po drzewo — Za to biedna kobieta musiała iść do niego do każdej roboty począwszy od nakładania obornika, na wiosnę, a skończywszy na młócce zimową porą.

Podczas nieobecności matki mogliśmy zabawiać się według swego upodobania i nieskrępowanej woli.

Niechaj więc nikogo to nie dziwi, jeżeli powiem, że na ogół uważano mnie za wielkiego „rabusia" i wróżono, że nic dobrego ze mnie nie wyrośnie.

Takiego może nie zupełnie serio, zdania była także moja matka, oraz starsze rodzeństwo. A to tym bardziej że w dodatku osądzono, że jestem bardzo uparty, skłonny do spierki, no i wielki kłamczuch, bo mam rzadkie uzębienie. Bolało mnie takie osądzenie. — „Rabuś"; niegrzeczny, szkodnik może... — Ale to drugie; nigdy! To oni właśnie kłamią i lubią się sprzeczać, nie ja — myślałem.

Niebawem jednak, odwróciła się karta mego życia i nastąpił inny rozdział. Najęto mnie do paszenia krów. Początkowo w swojej wiosce i to dorywczo, po powrocie ze szkoły. Później, w ostatnim roku szkolnym, powędrowałem na „rychtyk" służbę. Opuszczając rodzinną chatę, przekonałem się, że to nie prawda co mi się zdawało, że matka mnie nie kocha. Kiedy mnie żegnała, łzy płynęły jej po twarzy, a słowa pełne troski wypływały na usta: — ...tylko nie róbcie mu żadnej krzywdy, gospodarzu.

I w rzeczywistości chociaż być może krzywdy nie zamierzał mi nikt robić to jednak wiadomo, że... służba nie drużba" — poczucie sprawiedliwości najmujących było bardzo względne. Spanie miałem na wąskim ganku w stajni, pod jednym przykryciem z parobkiem. Dzień pracy rozpoczynał się wczesnym rankiem, a kończył późnym wieczorem. Cały ten długi dzień trzeba było pracować i to nielekko, chociaż przecież zgodzony byłem tylko do paszenia bydła. Budziło się we mnie pragnienie zdobycia szerszych wiadomości, przez czytanie gazet i książek, poza szkołą, przy paszeniu bydła. Odtąd codziennie, wypędzając bydło na pole zabierałem ze sobą książkę..

Książka, czytanie stało się dla mnie czymś na zawsze niezastąpionym. W domu nie miałem nic przyjemnego. Matka wymyślała mi, że marnuję czas nad książką i przy „gryzmoleniu", a nie pomagam jej. Że i tak z tego nic nie będę miał, bo do tego są inni, lepsi — bogatsi.

..Chwytała mnie ogromna rozpacz, a zarazem tęsknota do czegoś, co było tak daleko ode mnie...

Postanowiłem wtedy, że będę się sam kształcił, by zostać prawdziwym — zawodowym, sławnym pisarzem. Planowałem więc, że będę w pewnej porze dnia się uczył zasad pisowni pogłębiał swoje wiadomości ogólne, a jeszcze później pisał — tworzył. Lecz, gdy przyszło do tego, że „będę się uczyć", brała mnie ochota by czytać. Niedługo jednak to robiłem, bo ciągnęło mnie, znowu do pisania... A w rzeczywistości, ani jedno, ani drugie, ani trzecie mi nie szło... W dodatku matka... Ja nic, tylko siedziałem dumałem... — I wtedy, w takich chwilach, otwierały mi się oczy, poznawałem prawdę, życia; prawo bytu i rozwoju. Prawo, które mi odebrano dla swojej wygody, korzyści. W takich chwilach rodziła moja świadomość, poczucie przynależności klasowej, poczucie niesprawiedliwości ówczesnego ustroju, krzywdy wyrządzanej mej klasie od wieków... poczucie godności obywatela — człowieka. A równocześnie, jasna stawała się droga dalszego postępowania, walki ze „starym o nowe" — lepsze, szczęśliwsze życie, dla siebie i dla swych braci.

Antoni Kowol Marcinek

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 7 52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7
Prenumerata i kolportaż: P P K „Ruch", Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel 804-20 do 25
Tel. Red. Nacz. 727-86 Tel Redakcji 751 80 dod wewnętrzny 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł; kwartalnie 9,—; półrocznie 18,— zł; rocznie 36,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6842/110 z zaznaczeniem „za tyg „Wieś".
RSW „PRASA", Warszawa, Marszałkowska 3/5 2-B-44434